

GNIEWCZYNA W CZAS WOJNY

Tadeusz Markiel

GNIEWCZYNA W CZAS WOJNY
(na 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej)

GNIEWCZYNA W CZAS WOJNY

Tadeusz Markiel

GNIEWCZYNA W CZAS WOJNY (na 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej)

*Trzeba rozdrapywać rany,
aby nie zabiły się błoną podłości.*
Stefan Żeromski

Spis treści	Strona
1. SŁOWO O GNIEWCZYNIE.....	2
2. RELACJE Z ŻYDOWSKIMI SĄSIADAMI.....	16
3. BEZPRAWIE CZASU OKUPACJI.....	26
4. U RINCZERÓW.....	29
5. NIENAIŚĆ PRZED MIŁOŚCIĄ?.....	35
6. LOS NUCHYMA.....	36
7. ZABÓJSTWO LEJBY 'DRUGIEGO'.....	39
8. HISTORIA ABRAMKA I JEGO OJCA.....	40
9. DRAMAT GOŁDY.....	43
10. TAJNE NAUCZANIE.....	44
11. WYZWOLENIE.....	44
12. GIMNAZJUM W PRZEWORSKU.....	46
13. PORACHUNKI PO WYZWOLENIU.....	49
14. PROMETEJSKA ŻYDOKOMUNA.....	53
15. JESZCZE O DRAMACIE GOŁDY.....	54
16. ODREAGOWANIE OKUPACJI.....	55
17. OCALIĆ PAMIĘĆ.....	57
18. WSPÓŁODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA HOLOKAUST.....	63
19. PRZEPRASZAM ŻYDÓW ZA NASZ POLSKI ANTYSEMITYZM.....	69

1. SŁOWO O GNIEWCZYNIE

Zła wiadomość nadeszła dla ośmiu polskich rodzin wyznania Mojżeszowego, zamieszkałych w dużej, kilku tysięcznej wsi o nazwie Gniewczyna w gminie Tryńcza, powiat Przeworsk, ówczesnego woj. Lwowskiego a obecnie Podkarpackiego.

W dniu wybuchu wojny pewien starszy już rolnik mogący wyrażać typowe poglądy mieszkańców wsi, na pytanie co z nami będzie, gdy przyjdą tu Niemcy, odpowiedział: „Hitler zrobi porządek z Żydami.” Klęskę Polski umieścił w kategorii daru opatrności. Była to złowieszcza zapowiedź losu Żydów w Polsce, w tym losu małej, jednoprocentowej mniejszości etnicznej w Gniewczynie. Losu Trinczerów, Semków, Majerów, Jankielów, Kielmonów, Fajbów, Lejzorów i Majerków (Kiwowie, właściciele sklepu, mieszkający naprzeciw szkoły i Czysty, z zawodu ślusarz, mieszkający przy moście na Mlecze wyemigrowali ze wsi jeszcze przed wojną i słuch o nich zaginął).

W owym czasie nie cała społeczność Gniewczyny umiała czytać i pisać, bo dopiero od dwudziestu lat, od odzyskania państwowości po rozbiorach, dzieci i młodzież została objęta powszechnym obowiązkiem nauki (w praktyce nie egzekwowanym).

Z pokolenia dziadków tylko nieliczni umieli czytać i pisać, z pokolenia ojców co drugi. Chociaż cała młodzież była już piśmienna, to tylko nieliczni, co dziesiąty z nich, był przygotowany do dalszej nauki w szkołach średnich, ponieważ młodzież po ukończeniu klasy czwartej porzucała naukę – była potrzebna do opieki nad młodszym rodzeństwem i do pracy na roli. Zwykle dzieci rozpoczynających naukę było dwa oddziały a do ostatniej, siódmej klasy dotrwały trzy osoby – chłopcy z majątnych rodzin.

Brak wiedzy o świecie nie pozwalał ludziom we wsi sprawdzić sądów, które od góry wydawali inni, więc przyjmowali je za swoje „na wiarę”, popadając w przesady. Nie rozumieli – poza parafią – otaczającego ich świata. Nie wiedzano, że ziemia jest okrągła, świat – nieskończony.

Brak światła elektrycznego w domach, zagrodach i ulicach mylił ich zmysły, więc ulegali złudzeniom, przez co wierzyli w zabobony, gusła i strachy. Źródła wszystkich czarów i pokus upatrywano w kobietach; były to echa pradawnych tradycji patriarchalnych, polowań na czarownice.

Do pierwszego pokolenia światłej, nie koniecznie wysoko wykształconej elity rodem z Gniewczyny, należeli wówczas:

- ANTONI CHRUSCIEL, prawnik po uniwersytecie lwowskim i wojskowy; jedyny syn chłopca z Gniewczyny, który dzięki wykształceniu, dobremu wyglądowi i patriotycznej działalności zdołał się ożenić z córką ziemianina na Wołyniu. W czas okupacji był dowódcą Warszawskiego Okręgu AK. Miał wpływ na decyzję o rozpoczęciu powstania. Nie wyraził sprzeciwu wobec infantylnej decyzji podjętej przez przełożonych. Wojskowi dowódcy zawsze prą do wojny, bo to dla nich jedyna okazja na automatycznie przyznawane, obyczajem wojny, wymarzone szlify generalskie porównywalne z biskupią tiarą.

Strategicznie, powstanie było skierowane przeciw okupantowi bez liczenia się z faktem, że Niemcy mieli na froncie wschodnim półtora miliona wojska i policji i byli do ostateczności zdeterminowani nie dopuścić Armii Czerwonej do swego Faterlandu.

Politycznie, powstanie było skierowane przeciw Sowietom. Wpisywało się w filozofię dwu wrogów, bez liczenia się z realiami wojny. Mianowicie, to Armia Czerwona, nie

zachodni Alianci, była panem sytuacji, trzymała w ręku klucz do zwycięskiego zakończenia wojny. Zatem ocena sytuacji przez Dowództwo AK była nietrafna, wprost błędna, wywołała niekontrolowaną przez dowództwo AK lawinę tragicznych dla narodu skutków.

Nieświadomi tego powstańcy, ideowy kwiat warszawskich chłopców i dziewcząt, poszli w swój pierwszy, święty bój, jak w pierwszą miłość, w swe młodzińcze, górne marzenia o bohaterstwie, poświęceniu i powstańczej sławie i padli w heroicznej walce na śmierć i życie, na barykadach ulic i kamienic. Kiedy umierali w beznadziejnej rozpacz z braku broni i amunicji, bez nadziei na zwycięstwo, to przeklinali bezmyślnych generałów, którzy rzucili ich w ten bój o swoje szlify a gdy, śmiertelnie ranni, konali bez środków znieczulających, w ciemnych i cuchnących piwnicach, pod walącymi się od bomb sufitami, na rękach bezradnych, zapłakanych i zrozpaczonych dziewcząt, powstańczych pielęgniarek, to w męczarniach wzywali imienia najbliższych, nie Boga ani świętych, lecz imienia ukochanej, lub matki, i mieli szczęście, jeśli żegnały ich czyjeś łzy, jeśli czuli ostatni uścisk ich drobnych, czasem dziecięcych dłoni zanim wyzwolił ich z rozpacz i lęku czarny anioł śmierci.

Jeśli na początku, wieczorami, w chwilach wytchnienia, kiedy ustawały naloty sztukasów, śpiewali swą dumną pieśń powstańczą *Pierwszy sierpień, dzień krwawy, / Powstał naród Warszawy, / By stolicę uwolnić ze zła. / I stanęła na dachach, / Barykadach i gmachach / Biało-czerwonych sztandarów moc...* A po siedmiu dniach, kiedy brakowało amunicji i granatów, nucili pełen rozpacz refrenem:

O, jaka rozpacz me serce rozpina, / Walczyć nie ma czym. / Pod czołg idzie z butelką dziewczyna, / By zapłacić im: / Za zburzoną, kochaną stolicę / I za zgłiszczą te, / I za trupów dziś pełne ulice, / Za powstańczą krew... i z zażenowaniem wspominali powstańców getta, którzy w kwietniu zeszłego roku, jeśli musieli zginąć, to postanowili umrzeć z bronią w ręku w obronie godności ludzkiej i własnego honoru i którzy daremnie czekali na dostawę broni od dowództwa AK, jak teraz oni, warszawscy powstańcy, czekają na pomoc od Sowietów.

Tu, na Woli, Starym Mieście, Mokotowie, Powiślu i Czerniakowie zdarzyła się ofiara całopalna, jak ta, sprzed roku, ofiara całopalna powstańców Warszawskiego Getta, żydowskiej Masady. Tamci i ci umierali i byli przez kolegów grzebani w rozpaczliwym pośpiechu, pod ostrzałem i nalotem sztukasów, na podwórkach, skwerach, placach, w rowach i lejach po niemieckich wybuchach. Było Ich dwadzieścia, może więcej tysięcy i dziesięciokrotnie więcej cywili, dzieci matek i ojców. Po wojnie matki biegały całymi dniami, od świtu do zmroku, od grobu do grobu szukając swych synów i córek. Po tygodniach i miesiącach czasem latach rozpaczliwych poszukiwań płakały jak obłąkane nad szczątkami odkrytych spod ruin powstańców, jakby to byli ich najbliżsi, bo własnych nie znaleźli.

Bezpiecznie przeżyli powstanie ci, którzy je wywołali, Okulicki, Bór-Komorowski, Pełczyński i Chruściel. Nie zginęli na barykadach, nie popełnili samobójstwa, zrobili karierę wojskową na mitach narodowych i pokornie szli do niewoli w szlifach generalskich zdobytych kosztem wykrwawienia narodu, na grobach powstańców.

Zginął jeden Niemiec na sto pięćdziesiąt polskich ofiar! Zburzona Stolica! Rozsądny dowódca nie rozpoczyna wojny czy powstania, jeśli nie ma szansy na zwycięstwo. Tylko jeden, mianowicie gen. Anders od samego początku był przeciwny rozpoczęciu powstania. Uznał – z perspektywy frontu zachodniego – powstanie za błąd polityczny i wojskowy, za nieszczęście dla narodu, zbrodnię w odniesieniu do warszawskiej młodzieży i stołecznego miasta.

Nasi południowi sąsiedzi, Czesi byli bardziej dojrzałym narodem, nie poszli z motyką na słońce w samobójczą konfrontację z okupantem, uratowali młode elity i Złotą Pragę.

- FELIKS MŁYNARSKI (ur. 1884), syn miejscowych organistów, Honoraty i Jana Młynarskich, którzy do Gniewczyny przyjechali z Żołyni, ale ich ród pochodził z Kresów Wschodnich. Za udział w Powstaniu 1863 roku stracili majątek i wyemigrowali do Galicji. Feliks ukończył ekonomię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Został profesorem, mówił płynnie po niemiecku, francusku i angielsku, pełnił wysokie funkcje z ramienia Polski w Lidze Narodów. Za okupacji objął funkcję dyrektora Banku Emisyjnego. Drukowane w nim pieniądze nazywano „młynarkami”. Po wojnie napisał ciekawą książkę autobiograficzną „Wspomnienia”. Jego brat Michał Młynarski (1889 – 1942) został zamordowany w Auschwitz; dla uczczenia jego pamięci do obelisku jego rodziców i siostry Jadwigi na cmentarzu w Gniewczynie przytwierdzono symboliczną tabliczkę. Dzieci Feliksa: Marian i Janina (mieszkają w Krakowie). Wnuki Feliksa, od syna Mariana: Barbara i Kajetan. Prawnuk od wnuka Kajetana: Wiktor Feliks Młynarski.

- ALEKSANDER ZIEMIAŃSKI, charyzmatyczny ksiądz, ur. 1892 w Orzechówce koło Jasiennicy Rosielnej z ojca Stanisława Kresh i Marii Leśniak, szkołę średnią ukończył w Brzozowie k. Sanoka, święcenia kapłańskie przyjął 1916 r., pierwszy wikariat objął w Gniewczynie w 1933 roku. Jego bratankowie uczęszczali do szkoły w Gniewczynie, Tadeusz był moim kolegą klasowym, Franciszek ożenił się w Gniewczynie z Zofią Konieczny. Wyróżniali się wyższą kulturą bycia i zamiłowaniem do nauki. Po wojnie ksiądz Aleksander objął parafię w Rozwadowie. W wieku 72 lat, w 1964 r. odszedł, ze względu na zdrowie, na emeryturę. Zmarł, opłakiwany przez rozwadowskich parafian, 13 marca 1967 roku.

- STANISŁAW CHMURA, ur. 1896, zmarł 31.08.1945 w Anglii, podpułkownik, wojskowy lekarz wet. Brak mi o nim bliższych danych. Pamiętam tylko, że niektórym chorym z Gniewczyny pomagał w przyjęciu na leczenie do Lwowa. Musiał być kimś wyjątkowym, skoro takim był jego brat Piotr.

- PIOTR CHMURA-GUŚLARZ „spod młyna”, brat ww. Stanisława Chmury. Oprócz pracy na roli i troski o rodzinę, przez kilkadziesiąt lat, od młodości do śmierci, był przewodnikiem modlitw różańcowych przy opłakiwaniu zmarłych. Zdystansowany wobec wszystkiego, co się wokół działo, zanurzony w zaszłości, budził jakiś mistyczny szacunek. Wysoki, postawny, nieco pochylony jakby nad pługiem, o mocnej twarzy, z mierzwą włosów, zapatrzony w coś, czego inni nie widzieli.

W roli prowadzącego Różaniec przeistaczał się z milczącego, zapracowanego, rolnika w kapłana-guślarza i poetę. Zdawało się żałobnikom, jakby kapłan pradawny odprawiał guśla jakieś, przyzywał ducha zmarłego na ucztę biesiadną ku pomocy i przestrodze bliskim, jakby prosił duchy ojców i dziadów o opiekę i błogosławieństwo. Piotr, znający modlitwy żałobne prawie na pamięć, czytał je bardzo szybko i cicho, prawie prześlizgiwał się nad nimi, więc żałobnicy ulegali nie słowom, lecz głosowi, scenerii świętego, dawno zapomnianego obrzędu. Jakby słyszeli zamierzchłe, nie uświadomione wezwanie, echo pieśni z pradawnych wierzeń, wezwanie na biesiadę z duszami przodków, dziadów i pradziadów. , wezwanie, które mógł wyczarować tylko Poeta:

„Spieszmy cicho i powoli / Poza cerkwią, poza dworem, / Bo ksiądz guśłów nie dozwoli, / Pan się zbudzi nocnym chorem. / Zamknijcie drzwi od kaplicy / I stańcie dookoła truny; / Żadnej lampy, żadnej świecy, / W oknach zawieście całuny. / Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, / Co to będzie, co to będzie? /

Czyśćcowe duszyczki! ...Oto obchodzimy Dziady! / Zstępujcie w święty przybytek; / Jest jałmużna, są pacierze, / I jedzenie i napitek. / Mówcie, komu czego braknie, / Kto z was pragnie, kto z was łaknie.”

Nie ma już Piotra, ostatniego guślarza, który łącząc chrześcijańskie modlitwy z tajemnym obrzędem Dziadów, zmarłych przodków, powracających z prośbami i przestrogami, przynosił nadzieję żywym na spotkanie z duszami bliskich tu, w chacie i zagrodzie, w drodze, w pracy pośród pól i lasów, nie gdzieś daleko, w zaświatach, lub co gorzej – w nicości.

- FRANCISZEK RACHWAŁOWSKI, oficer lwowskiej tzw. granatowej policji (za okupacji „Polnische Polizei”) współpracującej, niestety, z okupantem w prześladowaniu Żydów. Był wprawdzie w kontrowersyjnej służbie okupanta, ale tajnie współdziałał z AK (ubezpieczał podczas okupacji podróż, w obie strony, Antoniego Chruściela odwiedzającego rodzinę w Gniewczynie); po wojnie był więziony a rodzina prześladowana.

- FRANCISZEK KULPA (1890 – 1953), muzyk-organista w Białobrzegach, kapelmistrz orkiestr i pierwszy w regionie fotograf-amator (zdobył pośmiertnie III miejsce w konkursie artystycznych zdjęć w salach „Zachęty”, w Warszawie, w 1985 roku). Mój wujek, którego bardzo lubiłem. Życzliwy, opiekuńczy, zawsze uśmiechnięty, z niezwykłym poczuciem humoru. Gdy ciężko chory leżał na dużej, wieloosobowej sali w rzeszowskim szpitalu i wydawało się, że zapada się w mękę umierania, nagle wyrwał się śmierci, podniósł się do pozycji siedzącej i dźwięcznym, mocnym głosem zaśpiewał pieśń pożegnalną „W mogile ciemnej śpij na wieki...” Gdy dośpiewał do końca, opadł bezwładnie i po chwili nie żył. Wywołało to poruszenie i zdumienie wśród pacjentów i personelu. Słuchacze mówili, że było w tym porażającym misterium umierania jakieś straszne, przejmujące grozą piękno rodem z antycznej tragedii. Myślę, że nastrój tej sceny mogłyby oddać tylko słowa Zeusa z Iliady Homera „*Pośród wszystkiego, co dyszy i pełza po ziemi, niema istoty bardziej nieszczęsnej niż człowiek*” (w tłum. Kubiaka).

- FRANCISZEK CHRUŚCIEL (1896 – 1985), kuzyn ww. Franciszka Kulpy, ukończył leśnictwo na Uniwersytecie Lwowskim. Jego ojciec, Jan pracował u Lubomirskich na Przeworsku przy hodowli koni. Zasługi ojca i świetne wyniki w nauce jego syna w Gimnazjum Ogólnokształcącym w Jarosławiu, skłoniły Lubomirskiego do płacenia stypendium za studia, pod warunkiem odpracowania tegoż w majątku Lubomirskich. Wspaniale się prezentował, był zapalonym myśliwym. Po studiach objął kierownictwo nadleśnictwa Zerwanka koło Julina i Brzozy Królewskiej. Po wojnie został przeniesiony do nadleśnictwa w Chrzanowie koło Katowic i Trzebini.

- MARIA SKIBA, jedyna we wsi pielęgniarzka dla dzieci i dorosłych i jedyna położna a zarazem Pogotowie Ratunkowe w jednej osobie. Najczęściej od rana do wieczora, także zimą w mróz i śnieg udzielała pomocy chorym, pogodna, pracowita nad podziw i co ważne, zasługująca na zaufanie. Podczas okupacji udzieliła czasowo schronienia dwu żydowskim dziewczynom poszukiwanym przez miejscowych kolaborantów.

- JAN STRAMA, technik, absolwent kilkuletniej Szkoły Mechanicznej w Sanoku (?), etatowy pracownik Cukrowni w Przeworsku. Wysoki, o dobrym wyglądzie, kulturalny i uczynny, dzięki temu lubiany. Ożenił się z piękną i kulturalną Rachelą/Teresą z Majerków. Podczas okupacji miał dostęp do tajnego nasłuchu radiowego w Cukrowni i wracając po pracy z Przeworska podtrzymywał nas na duchu dzieląc się dobrym nastrojem i nowinami z frontów wojny. Każdego wieczoru czekałem, że wstąpi z nowinami do nas. Ważniejsze od nowin była dla mnie kultura jego bycia, uśmiech, życzliwość i ciekawe zainteresowania. Przez małżeństwo uratował przed śmiercią Rachelę/Teresę i dzieci, Władzię, Stasia i Wacka, ale nie przed podłym szantażem ze strony bosa miejscowej, bandyckiej mafii.

Brat Racheli/Teresy o imieniu Wolek/Wiktor osiedlił się i założył rodzinę w Cieplicach koło Sieniawy, majątku Czartoryskich. Po wybuchu wojny 39 wyruszył na wschód z zamiarem znalezienia nowego, bezpiecznego miejsca dla rodziny. Nie zdążył z pomocą. Jego żonę i dzieci zamordowali miejscowi. Nie chciał wrócić do antysemickiej Polski w nowych granicach. Wiedział, że nie znajdzie grobu tych, których kochał. Zmienił nazwisko z lęku przed absurdalną nienawiścią ze strony polskich antysemitów. Po wojnie ożenił się powtórnie. Doczekali się udanej córki.

Maturzystami po 8-klasowym Gimnazjum Ogólnokształcącym w Jarosławiu byli wówczas:

- WŁADYSŁAW SŁYSZ, świetnie się zapowiadający młody maturzysta, AK-owiec, pseudonimu nie znam, zginął tragicznie w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu z rąk żołnierzy radzieckich stacjonujących we wsi przy obsłudze trzech, penetrujących niebo, reflektorów.
- JÓZEF CHRUŚCIEL, bratanek Antoniego Chruściela, w AK miał pseudonim „Karbowski”, zginął tragicznie przy nieznanej dla mnie misji, podczas przeprawy przez San w okolicach Sieniawy.
- ANTONI RACHWAŁOWSKI, bratanek lwowskiego oficera granatowej policji, w AK miał pseudonim „Gołąb”, po wojnie uciekł przez zieloną granicę do Anglii i tam zamieszkał na stałe.
- FELIKS JAGIEŁA, współwłaściciel młyna, w AK miał pseudonim „Żbik”, po wojnie stał się bohaterem dramatycznej ucieczki z rąk Milicji. Wraz z Antonim Rachwałowskim do Anglii i tam zamieszkał na stałe.

Ww. maturzyści stanowili ideowe skrzydło AK w Gniewczynie. Podlegali Wojciechowi Lisowi (ps. „Lewita”), komendantowi miejscowego Oddziału AK o pseudonimie „Mewa”, w którym najmłodszym akowcem był małoletni, niezwykle pomysłowy i odważny wywiadowca Julek Marek o pseudonimie „Mały”.

Do Gimnazjum Ogólnokształcącego w Jarosławiu uczęszczali wówczas:

- JÓZEF SŁYSZ, brat Władysława, przystojny, uzdolniony, czytany, o wyjątkowym poczuciu humoru, dusza towarzystwa dzięki grze na instrumentach i pięknemu głosowi podziwianemu w kościele, jak i wśród przyjaciół; a już lwowskie ballady śpiewa jak nikt poza nim. Po wojnie wstąpił do seminarium w Przemyślu. Został księdzem, chociaż mógł się spełnić zarówno w rodzinie, na polu nauki, jak i w mediach, na scenie.
- PIOTR RACHFAŁ, typ amanta filmowego, skończył po wojnie Akademię Handlową w Krakowie i tam zamieszkał na stałe.

Do Szkoły Handlowej w Przeworsku uczęszczała...

- FRANCISZKA JAGIEŁA, siostra Feliksa, po wojnie wyszła za mąż za oficera marynarki handlowej i zamieszkała w Gdyni.

Wyżej wymienieni maturzyści, gimnazjaliści i uczniowie szkół zawodowych, to było drugie oświecone pokolenie młodzieży gniewczyńskiej, wszyscy ze starych, zamożnych rodów i trzeba przyznać, że byli nie tylko młodzi i uzdolnieni, ale także piękni, sprawni fizycznie, dobrze wyglądający, zarówno chłopcy jak i dziewczyna, pełni radosnej dumy, że oto wybili się ponad społeczną przeciętność, świadomi, że wykształcenie ich nobilituje.

Niestety, II Rzeczpospolita „pielęgnowała” biedę. Biedni mieli sobie radzić sami. Młodzież „źle” urodzona, nawet zdolna, nie miała szans, aby dostać się do Gimnazjum. Nauka była płatna, więc młodzież, dorastając, dziedziczyła biedę, poczucie niespełnienia, żal za zmarnowanym życiem.

Szansa dla biednych na dostęp do szkoły średniej powstała, o ironio, dopiero podczas okupacji w ramach tajnego nauczania zorganizowanego przez władze konspiracyjne w Przeworsku.

Do nauczycielek zaangażowanych w tajne nauczanie w Gniewczynie, należały panie: Ludmiła Richter, osoba nad wyraz poważna i odpowiedzialna, jedna z dwu sióstr Richterówien, które mieszkały w kamienicy, jedynym murowanym domu w tej części wsi, u Wojciecha i Marii Koniecznych oraz druga, uciekiniarka ze Lwowa, wspaniała, bo otwarta na kontakty z ludźmi, opiekuńcza dla uczniów, z poczuciem humoru, Zofia Kiepuska, żona lotnika walczącego w bitwie o Anglię, matka kilkuletniej wówczas córki Basi. Wraz z matką i ciotką mieszkała u Jana Dałomisa, naprzeciw cmentarza. Po wojnie, wrócił z Anglii mąż pani Kiepuskiej. Pamiętam moment, kiedy w angielskim mundurze lotniczym, z dwoma stojącymi obok, skórzanymi walizkami, wita się radośnie z żoną i córką przy bramie wejściowej domu Jana Dałomisa.

Spośród wsi przeworskich, w tajnym nauczaniu przodowała Markowa, gdzie w latach 1941-1944 korzystało z tajnych kompletów aż 314 osób, podczas gdy w Gniewczynie tylko dziesięć.

Ofiarami wywózki na Sybir, urodzonymi w Gniewczynie, a mieszkającymi przed wojną 39 na tzw. Zabuzu, którzy dołączyli do organizującej się w ZSRR armii Andersa byli:

- JAN CHRUSCIEL, ur. 28 października 1899 w Gniewczynie, kapral, uczestnik wojny 1920 z bolszewikami. W 1935 roku osiedlił się wraz z rodziną za Bugiem, w okolicy Sokala, we wsi Bobiatyń, w sąsiedztwie Tartakowa. 10 lutego 1940 roku wywieziono ich na Sybir, do posesji Rżawka, Ustiański rejon, koło Archangielska. Tylko 6-letnia Zosia pozostała w Gniewczynie, w niemieckiej strefie okupacyjnej, pod opieką babci, Agnieszki Dałomis ze Spólników. Zwolnieni po dwu latach, wyruszyli w 70 kilometrową podróż pieszo, w środku zimy, do najbliższej stacji kolejowej.

Dotarli do podoboju wojskowego 7. Dywizji gen. Andersa w Uzbekistanie, w miejscowości Jakobak, Huzary. Jana z synem Władysławem przyjęto do wojska, małoletniego Stanisława – do Junaków. Wszyscy chorowali na tyfus. Ojciec i małoletni Staś nie przeżyli. W dniu 09 marca 1942 roku zmarł ojciec w wieku 42 lat i został pochowany na polskim cmentarzu wojskowym C K, III – 8, w Guzar, Uzbekistan. Jego 15-letni syn zmarł na tyfus i został pochowany w nieoznaczonym grobie, w Guzar (patrz str. 8).

- FRĄCISZEK CHRUSCIEL, dalszy kuzyn Jana, ur. 1925 roku, zmarł 31 marca 1942 roku we Wreuskaja, cmentarz C P gr. 33.

- WOJCIECH CHRUSCIEL, bratanek gen. Antoniego Chrusciela, ożeniony z Agatą Lasek, najstarszą córką Sebastiana Sobka. Wraz z siostrą Janiną (zameżną za Ludwikiem Brudem) wywieziony na Syberię. Z Andersem walczył we Włoszech, pod Monte Cassino. Z Anglii powrócił do kraju. Zmarł w 2000 (?) roku w Gniewczynie.

- WOJCIECH JANUSZ, strzelec, ur. 1908 roku, zmarł 14 sierpnia 1942 roku w Aszchabadzie, cmentarz C P gr. 11.

- FRĄCISZEK KULPA, kanonier, ur. 23 września 1916 roku, poległ 19 maja 1944 roku w bitwie o Monte Cassino, cmentarz C P gr. 8-F-9 Eks.

SAGA RODU DAŁOMISÓW W GNIEWCZYNIE:

Najbardziej mi znanym i zarazem znaczącym we wsi rodem jest, od dwustu lat, ród Dałomisów, moich najbliższych sąsiadów i powinowatych. Pozostaję z szacunkiem i sympatią dla jego uczciwości i pracowitości oraz dla rodowej i sąsiedzkiej zgody. Można się już doliczyć ponad stu potomków Założyciela rodu Dałomisów w Gniewczynie. Aby móc opisać taki ród tekstem, nie graficznie, temat jest podzielony na rozpoznawalne wzrokiem fragmenty ze zwiększającymi się wcięciami tekstu dla coraz młodszych pokoleń Założyciela rodu. Zastosowano więc następujący sposób indeksowania:

Indeks...**1** – Założyciel rodu DAŁOMISÓW w Gniewczynie;

Indeks...**2** – drugie pokolenie, synowie Założyciela rodu, którzy dali początek dwu liniom rodowym, Tomasz Dałomis „spod kapliczki” i Jan (?) Dałomis „spod bajora”;

Indeks...**3** – przecie pokolenie, wnuki Założyciela rodu, mianowicie trzy gałęzie rodowe pierwszej linii rodowej tj. Tomasza Dałomisa „spod kapliczki”:

- gałąź Jana Dałomisa, „Kościszki”,
- jego przyrodniego brata Walentego Dałomisa i
- przyrodniej siostry Rozalii Dałomis.

Oraz dwie gałęzie rodowe drugiej linii rodowej tj. Jana Dałomisa „z bajora” :

- gałąź Kazimierza Dałomisa i
- Jana (?) Dałomisa.

Indeks...**4** – czwarte pokolenie, prawnuki Założyciela rodu;

Indeks...**5** – piąte pokolenie, pra-prawnuki Założyciela rodu.

Uwaga: w 4. pokoleniu, licząc od Założyciela rodu, możliwe jest zawieranie małżeństw między prawnukami, więc Jan Dałomis, syn Kazimierza z linii Dałomisów „spod bajora”, ożenił się z Katarzyną Dałomis, córką Walentego z linii Dałomisów „spod kapliczki”. Najczęściej nadawano synom imię Jan. Stąd wnioskuję się, że było to imię Założyciela rodu Dałomisów w Gniewczynie.

1. JAN (?) DAŁOMIS, około (1800 – 1870), Założyciel rodu Dałomisów w Gniewczynie.

Przybył gdzieś z okolic Litwy, wtedy pod zaborem rosyjskim, ze znacznym majątkiem w kieszeni. Kupił kilku hektarów działkę na której wybudował dom i okazałą, stojącą do dziś, od strony drogi głównej, kapliczkę (stąd nazwa miejsca rodowego: „spod kapliczki”) i otworzył karczmę z wyszynkiem przy skrzyżowaniu dróg, w centrum wsi. Z żoną o nieznanym imieniu ani nazwisku, mieli dwu synów: Tomasza, który, jako pierworodny, odziedziczył połowę majątku wraz z miejscem rodowym „spod kapliczki” i drugiego syna, prawdopodobnie Jana, juniora, który odziedziczył drugą połowę majątku zwaną „spod bajora”. Zatem bracia, Tomasz „spod kapliczki” i Jan (?), junior, „spod bajora” osiedli obok siebie, „przez miedzę”, która do dziś jest lokalną drogą. Dali początek dwu głównym odgałęzieniom rodu.

2. Tomasz Dałomis (1825 – 1895), pierwszy syn Założyciela rodu Odziedziczył miejsce rodowe zwane „spod kapliczki” i karczmę po ojcu. Z pierwszą żoną o nieznanym imieniu i nazwisku, prawdopodobnie ze Świętoniowy, miał jedyne go syna, Jana Dałomisa („Kościszkę”).

3. Jan Dałomis, „Kościeszko” (1845 (?) – 1918), miał, podobnie jak jego ojciec Tomasz, kolejno dwie żony. Pierwsza o nieznanym imieniu ani nazwisku była ze Świętoniowy.

4. Maria Dałomis zamężna za Józefem Drysiem z Porąb (ich syn Jan Dryś ożenił się z Genią Sobalą).

4. Agnieszka Dałomis, nie założyła rodziny. .

4. Józef Dałomis, legionista i nauczyciel, nie założył rodziny.

4. Wojciech Dałomis, legionista, ożeniony z Józefą Ziemiańską (mieli kilkoro dzieci).

4. Tomasz Dałomis, legionista, ożeniony z Agnieszką Rachfał z za mostu (mieli trzech synów, jeden z nich ożenił się z Drożdżikówną).

4. Zofia Dałomis, zamężna za Mateuszem Krótyszem (mieli czworo dzieci, matka zmarła przy piątym, jedno z nich, córka, wyszła za mąż za Laską z Gniewczyny, druga za Marcell Imhoff).

4. Alojzy, niedoszły jezuita, nie założył rodziny.

Całe pokolenie Jana Dałomisa („Kościeszki”) po pierwszej żonie miało pecha. Wojciech, Tomasz i Józef zostali wyklęci przez miejscowego księdza proboszcza (Ciasnochę?) za wolnomyślicielstwo, natomiast Alojzy – wyrzucony z Zakonu Jezuitów w Starej Wsi. Z rozpaczny spieniężyli gospodarstwa i wszyscy solidarnie wyjechali za chlebem do Francji.

Druga żona, Agnieszka Spólnik z Gniewczyny Trynieckiej.:

4. Katarzyna Dałomis, zamężna za Janem Chruściel.(sybiracy).

5. Władysław Chruściel, (Polska- Syberia- Uzbekistan-Monte Cassino-Anglia-USA).

5. Janina Chruściel (Polska-Syberia-Uzbekistan-Afryka-Anglia-USA).

5. Stanisław Chruściel (Polska-Sybir-Uzbekistan).

5. Zofia Chruściel.

5. Edward Chruściel (Polska-Sybir-Uzbekistan-Afryka-Anglia-Canada).

A było to tak. Kapral Jan Chruściel, mąż Katarzyny, ur. 28 października 1899 w Gniewczynie, uczestnik wojny z bolszewikami, sprzedał w 1934 roku posesję i kilka piaszczystych zagonów, w sumie dwa hektary, aby kupić duży kawał, aż 5 hektarów urodzajnej ziemi za Bugiem, z parcelacji dużego majątku w okolicy Sokala, we wsi Bobiatyń, w sąsiedztwie Tartakowa. Zapłacili 5 tysięcy złotych, tysiąc za hektar. Po parcelacji powstała Kolonia Bobiatyń. W rok zbudowali dom i gospodarskie obejście. Cieszyła ich ta ziemia, chociaż martwiły nieżyczliwe spojrzenia miejscowych prawosławnych. Dla miejscowych Jan i inni byli – kolonistami, obcymi. Pewnej nocy za stodołą Jana pojawił się drewniany krzyż – złowróżbne ostrzeżenie.

Wojna 1939! Na Bugu ustaliła się granica stref okupacyjnych. Oni podpadli pod radziecką! 10. lutego 1940 roku, na długo przed świtem, pod dom podjechali na saniach czerwonarmiści. Łomot! Pół godziny czasu na spakowanie i wyjście przed dom! Zabierać dokumenty, chleb, słoninę, pierzyny, siekierę i piłę! Straszna panika, zapalają naftową lampę, gorączkowo, przy płaczu dzieci, ubierają się jak na mróz, pakują

rzeczy w koce i prześcieradła. Staś ze strachu schował się do stojącej w sieni beczki po kapuście. Poganiają: dawaj, dawaj! Opuszczają dom szlochając. Świta, śnieg skrzypi pod nogami. Przed domem stoi już żołdacka podwoda na saniach. Staś słyszy, że zabierają rodziców i rodzeństwo. „Zaczekajcie” ... – woła z płaczem i wyłazi z beczki. Żołdat wraca, wali go kolbą i dołącza do rodziny. Przynajmniej 4-letnia Zosia pozostawała w Gniewczynie, w niemieckiej strefie okupacyjnej, pod opieką babci, Agnieszki Dałomis ze Spólników. Przez miesiąc, dniem i nocą, jechał Jan z rodziną w nieznane, gdzieś do Zachodniej Syberii, w wagonach towarowych opalanych tylko piecykiem-kozą. Osadzono ich wraz z innymi za drutami kolczastymi w głębi lasów, w posiołku Rżawka, Ustiański Rejon, Archangielsk. Jego 6 osobowej rodzinie, w tym ciężarnej żonie, Katarzynie z Dałomisów, przydzielono jedną pryczę w nie ogrzewanym baraku. Po urodzeniu dziecko zmarło. Wszyscy, nawet 12 – letnia Janka, musieli pracować po 12 godzin dziennie przy wyrębie drzewa. Zwolnieni po dwu latach, wyruszyli w 70 kilometrową podróż pieszo, w środku zimy, do najbliższej stacji kolejowej. Dotarli do podobozu wojskowego 7. Dywizji gen. Andersa w Uzbekistanie, w miejscowości Jakobak, Huzary. Jana z synem Władysławem przyjęto do wojska, małoletniego Stanisława – do Junaków. Wszyscy chorowali na tyfus. Ojciec i małoletni Staś nie przeżyli. W dniu 09 marca 1942 roku zmarł ojciec w wieku 42 lat i został pochowany na polskim cmentarzu wojskowym C K, III – 8, w Guzar, Uzbekistan. Gdy wojsko wyjeżdżało w pośpiechu do angielskiej strefy w Palestynie, a wraz z nim okaleczona rodzina Jana, to w szpitalu na tyfus dogorywał 16- letni Staś. Miał wysoką gorączkę, ale był jeszcze na tyle przytomny, że przez szpitalne okno rozpoznawał swoją matkę i rodzeństwo. Przyciśnięta do szyby, rozgorączkowana twarz Stasia była aż straszna od rozpacz. I matka nigdy sobie tego nie wybaczyła... Władzio został żołnierzem Andersa i walczył pod Monte Cassino a matkę, Katarzynę Chruściel z Dałomisów Anglicy zesłali z dziećmi, Janką i Edziem, do obozu przejściowego w głąb Afrykańskiej puszczy, do Ugandy, na siedem okrutnych, długich lat. Potem osadzili polskie rodziny w starych barakach po angielskim wojsku, na południu Anglii. Dla każdej rodzinie po jednej izbie z piecem. Na powrót do kraju nie miała szans. Jej matka, Agnieszka Dałomis ze Spólników, zmarła w czas zimy 1940 roku. Ojcowiznę odziedziczył jej syn, który zarabiał na wynajmie połowy domu, ale nie znalazł kąta, nawet czasowo, dla siostry okaleczonej przez wojnę. . Zabrała ją córka, Janina, do Chicago. Tam, oderwana od polskości, od Edzia, który pozostał w Anglii, od Zosi, której nie mogła odwiedzić, od przyjaciółek z tułaczki i obozów, poddała się rozpacz. Umierała latami w traumie wspomnień, w żalu za mężem i synem, którzy zostali na wieczność w Uzbekistanie, z tęsknoty za Edziem w Londynie i za Zosią w dalekiej teraz Polsce. Gdy kładziono ją do trumny, to nie ważyła więcej niż dziecko. Była cieniem dawnej Kasi Dałomis, wysokiej, śmigłej i pięknej dziewczyny jaką była w czas szczęśliwy, za życia matki, Agnieszki Dałomis ze Spólników. W pamięci sieroczej Zosi Chruściel babcia pozostaje do dziś najukochańszą osobą.

- 4. **Stanisław** Dałomis, żonaty z Anną Gondek.
 - 5. Maria Rachwałowska, .
 - 5. Zofia Gondek .
 - 5. Stefan Dałomis (były dyrektor Zakładu w Hucie Stalowa Wola i obecny przedsiębiorca, właściciel dużej firmy produkcyjno-handlowej „Pantra”).
- 4. **Jan** Dałomis, żonaty z Zofią Ryfa
 - 5. Jan Dałomis, junior.
- 4. **Mateusz** Dałomis, żonaty z Marią Lis.
 - 5. Stanisława Gwóźdź;
- 4. **Maria** Dałomis, zamężna za Józefem Ciupą/Górskim.
 - 5. Edward Górski,
 - 5. Władysław Górski.
- 4. **Aniela** Dałomis, zamężna za Tadeuszem (?).
 - 5. Jan, Anna i Barbara.

3. Walenty Dałomis (1830 –1900), przyrodni brat Jana Dałomisa („Kościuszki”), syn Tomasza i drugiej żony z Drysiów, tych z Hyczuwek. Osiadł na gospodarstwie zwanym później „jamrożówką”.

- 4. **Julia** Dałomis.
- 4. **Agnieszka** Dałomis.
- 4. **Katarzyna Dałomis**, zamężna za Janem Dałomisem, synem Kazimierza, kuzynem z czwartego pokolenia linii Dałomisów „spod bajora”.
 - 5. Aniela (?),
 - 5. Jan Dałomis,
 - 5. Karolina Sido.
- 4. **Jan** Dałomis, (kulawy), żonaty z Anną Sido.
 - 5. Tadeusz Dałomis,
 - 5. Maria Czerwonka,
 - 5. Józefa (?).
- 4. **Piotr** Dałomis, sprzed szkoły, żonaty z Julią Sido, siostrą Anny.
 - 5. Maria Krótysz,
 - 5. Franciszek Dałomis,
 - 5. Stanisława (?),
 - 5. Józef Dałomis,
 - 5. Zofia Chruściel.

3. Rozalia Dałomis, zamężna za Brudem, gospodarstwo od południowego skraju wsi.

- 4 **Wojciech** Brud, szewc, bez rodziny.
- 4**Regina** Brud, zamężna za Józefem (?) Pacułą.
 - 5. Maria Jasic.
- 4**Józef** Brud żonaty z Anną Ryfa
 - 5. Stanisław Brud,
 - 5. Józef Brud.

Na wyżej wymienionych potomkach Założyciela rodu kończy się linia Dałomisów „spod kapliczki” a poniżej wyszczególniona jest druga linia, Dałomisów „spod bajora”.

2Jan (?) Dałomis, około (1830 – 1900), junior, „spod bajora”, z żoną o nieznanym mi imieniu ani nazwisku dali początek drugiemu odgałęzieniu Założyciela rodu, zwane „spod bajora”, w sąsiedztwie „przez płot” z bratem Tomaszem „spod kapliczki”, który był pierwszym odgałęzieniem Założyciela rodu; nazwa „spod bajora” pochodzi od stawu przeznaczonego dla domowego ptactwa i moczenia konopi przed międleniem.

3. Kazimierz Dałomis (1861 – 1924), odtąd jego gospodarstwo nazywa się kazimierzówka”. Żona o nieznanym imieniu ani nazwisku. .

4. Jan Dałomis, syn Kazimierza, ożeniony z Katarzyną Dałomis, córką Walentego Dałomisa (linia „spod kapliczki”; to było czwarte pokolenie w którym małżeństwo między członkami rodu było dopuszczalne). Podczas 1. wojny powołany do wojska austriackiego, walczył na froncie włoskim; ciężko ranny w głowę i nogę, po szpitalu zwolniony; w wieku 42 lat rany się odnowiły, nastąpił paraliż; pamiętam jak całymi godzinami próbował spacerować po ogrodzie; zmarł 12 latach choroby.

5. Aniela Buczek,

5. Jan Dałomis, junior, ożeniony z Marią Rachfał.

5. Karolina Sido, organiścina.

Janek ostał się na połowie ojcowizny zwanej, po dziadku kazimierzówką; zaczął gospodarzyć, po śmierci ojca, już w wieku 13 lat, wzorowy gospodarz i ludowy poeta, teraz ciężko chory. Drugą połowę posesji odziedziczyła Aniela Buczek.

4. Maria Dałomis, córka Kazimierza, zamężna za (?) Ciupą.

5. Kazimierz Ciupa/Broniewski.

5. Wojciech Ciupa/Broniewski; zginął z rąk gestapo po fałszywym donosie o posiadanie broni.

5. Antoni Ciupa/Broniewski, gimnazjalista sprzed wojny a potem wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec, po wojnie, po zmianie nazwiska na Broniewski, został, jako jedyny wówczas we wsi, znanym działaczem społecznym i urzędnikiem gminny Tryńcza.

3. Jan (?) Dałomis „spod bajora”, ledwie go pamiętam jako dostojnego starca stojącego na podwórku, między dużym domem pod strzechą a stajnią-oborą i krojącego skórki chleba dla kur. Żona o nie znanym mi imieniu ani nazwisku.

4. Piotr Dałomis, ożeniony z Anną (?) z Trynieckiej, odziedziczył ojcowiznę zwaną „spod bajora”.

5. Maria Kraszy (ich córka Czesława wybiła się na stanowisko dyrektora banku).

5. Agnieszka Niemiec,

5. Aniela Dymko.

5. Michał Dałomis,

5. Tadeusz Dałomis, bez rodziny.

5. Jan. Dałomis, kopia ojca z wyglądu i psychiki.

4. Antoni Dałomis po powrocie z Francji ożenił się z piękną rusinką z Zasania. Wskutek nieporadności Antoniego rodzina cierpiała skrajną

biedę. Takich jak oni, ludzie obśmiewają, zamiast im pomóc. Nadia, po owdowieniu, wyjechała z dwoma córkami na Ziemię Odzyskaną.

5. Maria Dałomis.

5. Emilia Dałomis.

4. Mateusz Dałomis ożenił się u Wojtasów (?), w części wsi przyległej do Wisłoka, zwanej Nowa Wieś. O jego trzech siostrach brak mi, jak dotąd, danych.

W tym odgałęzieniu rodu kryje się jakaś tajemnica. Otóż, Barbara Dałomis spędziła życie samotnie w „chacie za wsią”, na pustkowiu pól, między wioską a przysiółkiem Poręby. Istna chatka baby jagi. Tu spędziła młodość, wiek dorosły i starość. Nie wierzono, że kobieta mogła żyć w tak niehumanitarnej samotności, więc posądzano ją o czary. To przynajmniej chroniło ją przed prześladowaniami ze strony hołoty. Gdy przyszło mi tamtędy przechodzić, to bojaźliwie zerkalem ku Barbarze. Raz tylko, latem, zobaczyłem jej drobną, pochyloną postać obok chaty za wsią. Pomyśleć, że dziesięcioletka jak ja, bał się kontaktu wzrokowego z biedną przecież i nieszczęśliwą staruszką.

W czasie mroźnych zim, gdy z komina jej chaty nie unosił się dym a ona sama od kilku dni nie przychodziła na skraj przysiółka po gorącą wodę u Buczków, to oni zanosili jej pół garnka gorącej zupy. Wtedy okazywało się, że leżała w ubraniu pod zleżalą pierzyną. Był u niej taki ziąb, że ziemniaki pod łóżkiem zamarzały. Gdy zapominano o niej, to zdarzało się, że zjawiała się, ze stopami owiniętymi w szmaty, po gorącą wodę.

Ciepłą porą przyjeżdżał do niej na rowerze z Przeworska tajemniczy ktoś, niejaki Orłowski. Trwało to latami, aż do jej śmierci. Łączyły ich silne więzy, skoro dokonała zapisu chałupy i kawałka roli na jego korzyść. Po jej śmierci ten ktoś tajemniczy sprzedał spadek. Barbara-pustelnica wyrasta w moich wspomnieniach na świętą pośród przeciętnych zjadaczy chleba we wsi.

Dałomisów wspominam z szacunkiem i sympatią. Po pierwsze dlatego, że po wojnie poznałem w ich rodzie Zosię (córkę Katarzyny Dałomis a wnuczkę Agnieszki Dałomis ze Spólników), dziewczynę o nieśmiałym, zmysłowym wdzięku i zobaczyłem w niej to, czego inni nie widzieli: najpiękniejszy uśmiech, delikatność uczuć i złote serce.

Po drugie, z kuzynem Zosi, Stefanem Dałomisem łączą mnie więzy serdecznej przyjaźni. Czas wolny poświęcamy turystyce, dyskusjom o literaturze i rozmowom o polityce. Podzielamy pogląd, że to właśnie Unia Europejska cywilizuje nasz kraj i zarazem ubolewamy, że polski katolicyzm jest tożsamy z antysemityzmem...

Mile wspominamy kuzynkę Zosi, Stasię Gwóźdź z Dałomisów, pracowitą, pobożną i nadzwyczaj życzliwą nam osobą we wsi. Podobnie mile wspominamy Edzia i Władzia Górskiego, synów Marii z Dałomisów, mieszkających z rodzinami w Przeworsku.

Po trzecie, Piotr Dałomis z linii Dałomisów „spod kapliczki”, żonaty z Julią Sido, nauczył mnie kiedyś rozumu, udzielił mi lekcji, którą zapamiętałem na całe życie. Kiedyś, jako nastolatek upatrzyłem sobie pewnej słonecznej niedzieli, w czas sumy w kościele, dojrzewające gruszki w jego sadzie za stodołą. Wylazłem na drzewo, narwałem gruszek za koszulę i zamiast czym prędzej zmykać, zacząłem smakować soczystą gruszkę i

podziwiać te wiszące na niedostępnych gałęziach. Nagle kątem oka dostrzegłem Piotra Dałomisa wychodzącego spoza stodoły. Zamknąłem oczy, przywarłem do drzewa i uczułem mdłości po gruszcze. Łypnąłem kątem oka. Stał i patrzył w moją stronę. Znów zamknąłem oczy. Po chwili, która była wiecznością, spojrzałem – nie było już Piotra. Cud, prawdziwy cud. Zlażłem z drzewa. Gruszki mi obrzydły, ani zostawić, ani je zabrać. Oto człowiek dobry jak chleb, pomyślałem.

Syn Piotra, Józek, był bratnią duszą mojego dzieciństwa. Razem pasaliśmy krowy, jeździliśmy na oklep na koniach, zbieraliśmy grzyby i jagody, urządzaliśmy godzinne biegi przełajowe. Jego rodzice i rodzeństwo (Maria, Franciszek, Stanisława i Zofia) to najbardziej pracowici, uczciwi i zgodni sąsiedzi. Jednak ich dom towarzysko był raczej zamknięty. Otwarty dla chłopaków z sąsiedztwa był natomiast dom, i ogród z owocami, należący do Anny Dałomis, wdowy po Piotrze z linii Dałomisów „spod bajora. Anna była dobra dla kolegów jej synów jak matka.

W Gniewczynie nie ma, niestety, tradycji pamięci o przodkach, którym zawdzięczamy dar istnienia. Zwykle ludzie sięgają pamięcią pokolenia dziadków. A przecież jesteśmy spadkobiercami genów od najmniej dziesięciu pokoleń kobiet i mężczyzn w naszym rodzie. Naszą osobowość, tożsamość społeczną i religijną zawdzięczamy tym, którzy byli przed nami. Jeśli nie zepchniemy ich w przepaść zapomnienia to lepiej zrozumiemy samych siebie i teraźniejszość, lepiej zaplanujemy przyszłość. Może nawet znajdziemy pośród nich kogoś z kim chcielibyśmy się utożsamić. Także wiara w życie pozagrobowe zobowiązuje nas do duchowej łączności z tymi, których kochamy...(…) *bo na [ich ołtarzach] się jeszcze ogień żarzy // I miłość ludzka stoi tam na straży // I my winniśmy im cześć...* Adam Asnyk.

Co do początku stałego osadnictwa, to wieś zaczęła powstawać w międzyrzeczu, w kątach ramion rzek Mlecзки i Wisłoka, w czasach historycznych, na terenach Rusi Czerwonej, przyłączonej do Królestwa Polskiego przez ostatniego z Piastów, króla Kazimierza III Wielkiego (1310 – 1370), czyli po ustabilizowaniu się granic politycznych. Wcześniej granica państwowa przebiegała 70 km na zachód na linii Rzeszów – Janów Lubelski. Międzyrzecze Wisłoka i Mlecзки jest atrakcyjne dzięki umiarkowanemu klimatowi, bujnej roślinności, w sam raz dla upraw i hodowli.

W sto pięćdziesiąt lat od początków stałego osadnictwa polskiego, Gniewczyna liczyła, w 1451 roku, jak podają kroniki kościelne, zaledwie 91 mieszkańców. Pierwszy kościół drewniany kazała zbudować w środku wsi, w malowniczym i zarazem obronnym miejscu, na wysokim brzegu, na ostrowie wewnątrz zakola Mlecзки, Zofia ze Sprawy, córka Odrowąża, dziedziczka Jarosławia, do której, niestety, należały najbardziej urodzajne ziemie w Gniewczynie. Posługę w Parafii sprawowali wówczas księża-bożogrobcy z Przeworska. Miejsce na podwyższeniu, w środku wsi, gdzie stoi kościół, most na Mleczce z widokiem na wieżę kościoła i dorzecze Mlecзки, gdzie rzeka wpada do Wisłoka, to najbardziej urokliwe miejsca w Gniewczynie.

W 1624 najazd tatarski Kantymira ograł i spalił wieś. Przytoczę ciekawą relację Stanisława Przyłęckiego z *Pamiętników o Koniecpolskich w XVII wieku*, Lwów 1842:

Wnet z lasu na szerokie wzgórze wyjechawszy, Tatarów z daleka zobaczyli. Wieś wielka i długa, którą Chmielecki, wszystkie te strony znający, Gniewczyną nazwał (od prawego brzegu poczynając) płonęła. Na samym skraju, prawie pod lasem, dopalał się kościół, od którego sklepienie już się zawaliło. Dalej paliły się z trzaskiem, iskrami strzelając, chaty, stodoły, gumna, nawet stogi. Z lewego zaś końca, który nieruchomo stał, mrowili się

Tatarzy. Widać było jak spieszeni żwawo od chaty do chaty, niby mrówki, biegają, co raz to coś wynosząc. A z brzegu wsi, polami koniowodni wolno postępowali, prowadząc bydło, konie, bachmaty z jukami już pełnymi. Tak chyba czuli się bezpieczni, że żadnych straży nie było...

Oficerowie, przez perspektywy się temu przyglądali przez chwilę, aż Chmielecki buzdyganem do ataku dał znak. Żołnierze już przedtem bez komendy na swoje wierzchowce bojowe się przesiedli, dobyli szabel i sprawdzili pistolety. Toteż natychmiast ruszono. I wszystko się odbyło jak przedtem, z tą różnicą, że sunęli bez krzyku... Tatarzy byli zupełnie zaskoczeni. Zaczęli tam i sam biegać obłędnie. Jedni ku Jarosławiu (gdzie był szlak w kierunku kosza) się rzucili. Ale z tej strony właśnie wojsko nadlatywało, więc zawrócili. Inni do koni skoczyli, jeszcze inni wzdłuż wsi uciekali...

Kmiecie uzbrojeni w widły, kosy na sztorc osadzone, osęki i cepy walczyli zaciekle, ordynców ze strzech ściągając, po kątach różnych w obejściach goniąc i mordując... Tylko chłop jeden, łzami zalany, do pana Tyburcego, łkając, mówił: Panie, daj pokój panie, na koniec wsi idź panie i zobacz, jak dziadów naszych, dzieci, żony i braci w kościele broniących się żywcem spalili... Na przeprawie przez Mleczkę czasu trochę zmarudzone. Ale przez to znów usłyszeli strzelaninę gęstą gdzieś w okolicy, chociaż ani zamku, ani żadnej innej fortalicji blisko być nie mogło a miasto Przeworsk już za plecami zostawili.

Z czasem wieś nabierała coraz większego znaczenia, bo leżała, wprawdzie na drugorzędnym, ale jednak na szlaku handlowym Sieniawa – Przeworsk i przed rozbiorami, pod koniec XVIII wieku, do parafii gniewczyńskiej należały już Białobrzegi, Tryńcza, Wólka Tryniecka, Głogowiec, Ubieszyn, Gorzyce, Jagiełła i Niechciałka. Pierwsze rodziny żydowskie mogły przybyć do Gniewczyny po roku 1848, kiedy to ustawa austriacka zrównała Żydów pod względem prawnym z ludnością chrześcijańską. W 1909 kościół drewniany zastąpiono okazałym, murowanym. Wtedy we wsi pozostało jeszcze kilka kurnych chat i kilka ziemianek biedaków. Nieliczne domy kryte strzechą dotrwały do ostatniej wojny.

W tamtym czasie, dziedzic włości na Gniewczynie dokonał parcelacji majątku przez sprzedaż działek miejscowym rolnikom. Dwór dziedzica był zlokalizowany w centrum wsi na lewym brzegu Mleczki, na najwyższym – w tej okolicy – nabrzeżu, blisko przejścia dla pieszych, tzw. ławy. Stąd, tj. od lewego kąta dopływu Mleczki do Wisłoka, rozpościerały się w kierunku na zachód, ku Świętoniowie, najbardziej urodzajne ziemie. Miejsce zwane „dworem”, zasiedlają dziś potomkowie Wiechów, Ryfów, Chruścielów, Pelców i innych, bogatych kiedyś gospodarzy. Także moja babcia, Maria Kulpa, pochodziła z tej gałęzi Chruścielów.

Większa część mieszkańców wsi cierpiała biedę, rodzina jadła z jednej miski, niektórzy na własny użytek międlili konopie i tkali płótno na koszule, jeden z gospodarzy nawet w zimie boso woził nawóz na pole; biedne kobiety chodziły do oddalonego o 3 km lasu po suche konary i nosiły ciężkie paki tego opału na plecach – pamiętam ich spocone i zaczerwienione z wysiłku i od palącego słońca, twarze. Małorolni gospodarze, których była większość, odpracowywali fizycznie wynajem konia. Z tego powodu pracowali nie mniej od zamożnych, którzy posiadali konia/konie z wozem i rolniczym osprzętem. Posiadanie jednego konia wyznaczało przynależność do klasy średniej, dwu – do klasy zamożnych gospodarzy, tak zwanych kmieci.

Do miastowych, urzędników, policji, kolejarzy, nauczycieli odnoszono się z zazdrością i niechęcią. Oni, pracując od świtu do wieczora we dworze u Lubomirskich,

Czartoryskich, Potockich i we dworach dzisiejszej zachodniej Ukrainy, zarabiali złotówkę za dniówkę, podczas gdy urzędnicy cywilni i mundurowi zarabiali krocie, kilka setek miesięcznie. Do tego chłop we dworze i żołnierz w wojsku brali po pysku. Gdy ojciec służąc w wojsku w Tarnopolu spóźnił się jeden dzień z urlopu, to sierżant zawodowy, zanim wysłuchał usprawiedliwienia, wymierzył mu tęgi policzek.

Bezrobocie sięgało najmniej 50 procent. We wsi były tylko dwa rodzinne warsztaty pracy: duży, murowany, napędzany silnikiem spalinowym młyn Jagielów i prosta, siłą mięśni obsługiwana olejarnia Ficków. Niektóre rodziny w poszukiwaniu chleba przenosiły się na wschód, na Zabuże, gdzie kombatantom wojny 1920 roku sprzedawano tanio urodzajną ziemię z parcelacji niektórych majątków. Tak postąpili Jan i Katarzyna z Dałomisów, Chruścielowie, z dziećmi Władziem, Stasiem, Janką, Zosią i Edziem. Później się okaże jak tragiczne będą tego skutki.

Co do opinii pasterzy o gniewczyńskiej parafii, to najdosadniej wyraził się (na przełomie 19 i 20 wieku) ówczesny proboszcz ks. Jan Biega narzekając na „obrzydliwy nałóg głupoty, dzikości i gniewu u ludzi”. Tu przytoczę, za panią Bogumiłą Szajner, żalę księdza proboszcza z jej pracy licencjackiej pt. *Dzieje oświaty w Gniewczynie w latach 1945 - 1990: W każdej sprawie, choćby najzbawienniejszej, najpożyteczniejszej, najprostszej, muszą członkowie tej gminy i prawie zawsze jedni i ci sami, nie mając oświeconego rozumu i nie chcący przyjąć od nikogo ani oświecenia, ani rady – gniew czynić to ich żywioł, ich ideał. To dowód namacalny i źródło, początek, przyczyna nazwy gminy miejscowej Gniewczyna”*.

Takie narzekanie z pozycji wyższości miało się nijak do zniewolonego ciężką pracą chłopą i jego żony, obarczonych gromadą najczęściej głodnych, obdartych i chorujących, wiecznie zasmarkanych dzieci, gnieźdzących się wraz z pokoleniem dziadków przez całą zimę w jednej, ciasnej izbie-kuchni, najczęściej w starych, osiadłych w ziemi i zagrzybionych domach, z toaletą poza domem.

Przykładem, jak ciężką pracą było życie, byli niedalecy sąsiedzi, Czerwonkowie. Mieli dwanaścioro dzieci. Ojciec rodziny, Piotr, kmieć na 6 morgach piaszczystej, wymagającej nawożenia ziemi, wyróżniał się od innych życzliwością do otoczenia i wyjątkową kulturą obejścia. Jego żona, Anna wysoka, chuda, małomówna była tak zapracowana od świtu do nocy w domu, oborze, ogrodzie i na polu, że zdarzało się jej urodzić dziecko nie w domu, nie mówiąc już o szpitalu, lecz w polu – przynosiła wtedy noworodka do domu w podółku spódnicy.

W zimie młodsze dzieci spały u nich we czworo na jednym łóżku, chorowite, bądź przeziębione na piecu, na warstwie ciepłego, suszącego się ziarna, dziadkowie na ławach, na przypiecku, starsze dzieci na podłodze, na przynoszonej do izby, co wieczora, świeżej warstwie słomy. Nikt z domowników, nie miał pracy zarobkowej, emerytury, czy renty. Popularnym napojem była kawa z przypalanego w domu jęczmienia, z braku nafty do lampy, przyświecano sobie szczapami wciśniętymi w szczelinę między cegłami pieca. I właśnie im pożar strawił drewniany dom i obory. Rozpacz! Wieś nie była społecznie zorganizowana, nie potrafiła im pomóc. Musieli sami, z zaświadczeniem od księdza proboszcza, że są pogorzalcami, wędrować nawet po okolicznych wioskach z prośbą o wspomóżenie. Ale gdyby wszyscy we wsi byli tacy ludzcy, zacni, życzliwi, bez plotek i zawiści, jak Piotr Czerwonka i jego żona Anna, to chciałoby się tu mieszkać i tu powracać.

Brak ziemi i związana z tym bieda, ciężka praca, ciasnota i brak nadziei na lepsze jutro sprawiały, że większość ludzi czuła się pokrzywdzona i wydziedziczona przez los a przez to gniewna, szukająca winnych za swój ciężki los. Nie mając warunków do rozwoju, nie mieli

poczucia patriotyzmu, bo nie mieli powodu do dumy z przynależności do wolnej Polski. Ich ojczyzną była, jak za zaborów, polszczyzna i ojcowizna – jeśli mieli szczęście ją odziedziczyć.

2. RELACJE Z ŻYDOWSKIMI SĄSIADAMI

Po nakreśleniu historycznej panoramy i socjalnej kondycji wsi, powróćmy do przytoczonej na początku, życzeniowej, mrocznej w swym przesłaniu opinii wygłoszonej w pierwszych dniach wojny przez przyzwoitego skądinąd rolnika na temat biednej, wiejskiej wspólnoty Żydów. Jego prorocstwo stało się ciałem w maju 1942 roku. Obawa przed tym, co jest niepokojąco inne, czy niechęć do miejscowych Żydów nie wynikała z uprzedzeń rasowych, wywodzących się z odmienności wyglądu, języka i obyczajów, bo ci ludzie schłopieli, ubierali się, zachowywali i mówili po swojsku jak katolicy mieszkańcy. Nie należeli do chasydów, którzy wyróżniali się wyglądem i ubiorem, głosili radość życia przez ekstazę religijną, taniec i śpiew. Mieli tylko typowo żydowską umiejętność przekonywania, mediacji w handlu i prawdziwe poczucie humoru – lubili śmiać się z siebie. Niechęć do nich nie wynikała też z zawiści socjalnej, bo nie dzierżawili od szlachty wyszynku, karczmy, ani placu czy budynku od duchowieństwa, byli najbiedniejsi z biednych, nawet nie byli wykształceni, umieli tylko czytać i pisać. Nie byli też zagrożeniem dla katolicyzmu, bo nie dążyli do pozyskania wyznawców, jak my to czynimy, wręcz przeciwnie – nie przyjmowali nawróceń na judaizm. Może to, że skrupulatnie przestrzegali mądrych w istocie a dziwaczkich dla nas rytuałów w zakresie religii, kuchni i higieny oraz dawali przykład wyjątkowej obyczajności i wierności Staremu Zakonowi wywoływało w nas podziw i zarazem wzbudzało nieżyczliwą zazdrość.

Dotykał ich antysemityzm religijny, przeciwstawiający się żydowskim sąsiadom i współobywatelom w Ewangeliach, liturgii, kazaniach, jasełkach, malarstwie religijnym i w obyczajach domowych. Podczas wielkopiątkowych modlitw księża odczytywali sceny o tym, jak Jezus był męczony. Pod stacjami drogi krzyżowej grupy wiernych rozpamiętywały wg modlitewnika jak Jezus był ukrzyżowany. Opis męki był wyrażany, literacko, tylko w stronie biernej, bez wskazania winowajców. Ale śpiewana przez wszystkich pieśń, pełną piersią, bo żalosna i wpadająca w ucho... *Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił, / W czym żem zasmucił, albo w czym zawinił. / Jam cię wyzwolił z mocy faraona / A tyś przyrządził krzyż na me ramiona...* była skargą Jezusa wprost na Żydów, wzbudzała nienawiść na tle narodowościowym.

W okresie świąt bożonarodzeniowych, domy odwiedzali kolędnicy z szopką. Przybyli też do babci Marii Kulpy. Wśród nich zgarbiony, pejsaty, karykaturalnie ubrany Judasz z pielgrzymim kosturem i workiem na pieniądze u pasa, wiadomo – Żyd. W ten czas, przedobra ciocia Stasia wysunęła z miotły witkę brzożową i podając mi, siedmiolatkowi wówczas, powiedziała z uśmiechem: „bij tym Żyda po garbie na plecach, będziesz miał zasługę przed Panem Jezusem”. Nie rozumiałem co do mnie mówiła i zresztą bałem się, bo jakże to tak, bić dorosłego z kijem w rękę. Ciocia, służąc przez 20 lat u miejscowych organistów, Młynarskich, nabrała przekonania, że wprowadzie Żydzi są mądrzy (używała wyrażenia „mądry jak rabin” – w pozytywnym znaczeniu), ale obwiniała ich, jak wszyscy we wsi, w poczuciu świętej naiwności, za śmierć Jezusa, więc dalej zachęcała, „no idź, bij, nic ci nie zrobi”. Odważyłem się w końcu uderzyć i o dziwo, Żyd się nie rozłościł, nie zdzielił mnie kijem. Dla ludzi we wsi każdy człowiek był stworzeniem bożym, tylko nie Żyd. Wtedy nie mieściło się mi w głowie, że nawet te pobożne, dobrotliwe kobiety we wsi dotyka odwieczny antysemityzm religijny, który za okupacji będzie dla chłopów uzasadnieniem do udziału w pogromie żydowskich sąsiadów i współobywateli.

Mimo poczucia religijnej wyższości a nawet arogancji płynącej z pełnego pychy przeświadczenia, że *nie ma zbawienia poza Rzymem*, we wsi panowała atmosfera życzliwej wyrozumiałości w stosunku do żydowskich sąsiadów i współobywateli dzięki drobnej wymianie handlowej, korzystnej dla obu stron. Tu, we wsi, katolicy mogli sprzedawać żydowskim rodzinom nadwyżki mleka, sera, masła, drobiu, kaszy, ziemniaków oraz cielęta i skóry zwierząt. Kupowali natomiast wełniane, kolorowe, w tureckie wzory, chustki na głowę zwane „dybytkami” i wełniane, w kratę, grube chusty z frędzlami – na plecy. Składali też pojedyncze zamówienia na inne części garderoby, sprzęty gospodarstwa domowego, po które Żydzi jeździli aż do Rzeszowa, przy czym z oszczędności połowę trasy pokonywali zwykle pieszo, na skróty. Gdy Lejba Trinczer chciał sprzedać cielę w Przeworsku oddalonym o 7 km, to pędził je pieszo, a gdy ustawało w drodze, brał je niczym dziecko na barki, dopóki sam się nie zmęczył. Żadna z rodzin żydowskich nie posiadała konia z wozem, co stawiało ich w rzędzie z najuboższymi. Nie zdarzało się im jednak żebrać, kraść, upijać się, czy awanturować. Nie prowadzili nawet karczmy, chociaż była tu od dawien dawna. Stąd, we wzajemnych relacjach przeważał pragmatyzm. Świadczy o tym niezależna ocena wyrażana w przysłowiu: *jak bida, to do Żyda, jak po bidzie, pocałuj mnie w d... Żydzie*, albo w przysłowiu: *kochaj bliźniego, aż koszula spadnie z niego*. Była w tym jakaś mądrość ludowa, trzeźwa ocena natury ludzkiej.

Ani w domu, szkole czy kościele nie uczono, że trzeba szanować także żydowskich sąsiadów i współobywateli, bo są uczciwymi ludźmi i chociaż różnią się od nas wierzeniami i obyczajami, to są tylko inni, ale nie oznacza, że są gorsi, czy obcy. Przyzwolenie na poniżanie Żydów szło z góry. Nikt nie mówił tego wprost, ale to się wiedziało. Mimo, że tu się urodzili, tu mają groby przodków, że ożywiają kulturę, uczą handlu i rzemiosła, to mają być ludźmi, jakimi chcieliby widzieć ich antysemita – gorszymi. Obowiązywała tu kultura plemienna zamiast obywatelskiej. Jeszcze nie wiedzano, że wielokulturowość jest intelektualnym bogactwem i urodą każdej społeczności. Brakowało kontaktów emocjonalnych, bo katolicy nie zabiegali o to ze strachu, aby nie przyłgnęło do któregoś z nich pogardliwe przezwisko „żydowskiego pacholka”.

Poczucie przewagi fizycznej płynącej z liczebności i uprawomocnienia płynącego z rasistowskich i religijnych przesądów schlebiali naszej próżności, tym bardziej, że żydowskie rodziny zachowywały się tak, jakby przepraszały, że żyją. Więc lubiano trochę Żydów, bo po pierwsze nie stanowili dla wieśniaków konkurencji a po drugie – można się było na nich wyżywać, bezkarnie wyśmiewać ich religijną odmienność i używać słów Żyd, Żydówka, żydowski bachor w negatywnym sensie, jako drwiny, upomnienia bądź obelgi – słowo to miało sens wykluczający ze społeczności katolickiej.

Takie były wówczas poglądy, że przyznać się do żydostwa było czymś wstydliwym a zapożyczyć od Żydów religię i modlić się do Jezusa z pochodzenia Żyda, jak do samego Boga, wzywać świętą Bożą Rodzicielkę, z pochodzenia Żydówkę, ku obronie – czymś wzniosłym. We wsi nie rozumiano, że obrażanie uczuć religijnych innych ludzi jest poniżaniem samego siebie.

Stąd do dobrych żartów należało, przy okazji świnioobicia, poczęstować żydowskie dziecko kawałkiem kielbasy, czy kaszanki wiedząc, że ich żydowscy rodzice przestrzegają koszerności. „Mame – mówiło dziecko żydowskie po powrocie od sąsiadów – Konik Wojtek dał nam krupki z workiem, aj waj, jakie to dobre było.” Katolicy używali, w złej woli, pozdrowienia „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” jako kija na Żydów. Oni odpowiadali z dumą: „Niech będzie pochwalony Bóg Wszechmogący”.

Gdy pewnego razu ojciec wysłał mnie w jakiejś handlowej sprawie do Trinczerów, to w małej izbie, jedynej takiej pełniącej funkcję sypialni i „salonu” w ich małym, drewnianym domu, zwróciło moją uwagę łóżko, całe w bieli, ze stosem poduszek pod głowę. Poczułem się nieswojo, bo powtarzano we wsi, że Żydzi duszą starych i chorych członków swoich rodzin między takimi poduszkami. Księża nie potwierdzali ani nie zaprzeczali podobnym plotkom.

Brak z naszej strony społecznego zachowania wobec Żydów dowodził, że nie byli objęci przykazaniem miłości bliźniego rozumianym jako przykazanie braterstwa wszystkich ludzi. Żydowski sąsiedzi i współobywatele, nasi starsi bracia we wierze, musieli ignorować przemoc psychiczną, aby nie prowokować gorszej, fizycznej. Gdy ich poniżano, śmiali się, aby nie płakać. „Ustąpić – to nasza wojna”, mawiali. Nie mogli się obrażać i unikać ludzi, bo utrzymywali się z rzemiosła, handlu i pośrednictwa, co wymagało codziennych kontaktów z otoczeniem. Nie stać ich było na gniew...

Ale tak naprawdę, to nawet żydowskiego biedaka, pachciarza i nosiwodę, chroniła przed motłochem duma z biblijnej przeszłości i głęboka, nieznana nam, chrześcijanom, wiara, że są narodem wybranym, któremu Wszechmogący objawił Dekalog – drogę życia, Pisma święte, Psalmy i Błogosławieństwa.

To sprawiało, że nawet pod groźbą utraty życia nie wypierali się swojej religii. Trwali jak biblijny Hiob we wierze mimo cierpień i prześladowań. Wyjątkiem było zauroczenie i miłość, czego przykładem były dwie piękne córki Majerków. W Racheli/Teresie zakochał się Jan Strama, technik a w Rebecce/Bronii – Jan Szozda, kolejarz. Pierwsza doczekała się trójki udanych dzieci; uchroniła się we wsi, ale przeżyła piekło, była nieustannie szantażowana przez najbardziej zdegenerowanego z miejscowych mafiosów, Józefa L., który do końca wojny groził jej i dzieciom denuncjacją przed okupantem.

Druga ukrywała się podczas okupacji, z pomocą narzeczonego, w coraz to innych miejscach, najdłużej u Bajów za Mleczką, przy moście. Po wojnie odetchnęła od zmory lęku przed sąsiadami i okupantem. Nie musiała zmieniać wiary, dostała szansę na ślub cywilny i zamieszkała z Janem w powiecie łańcuckim, z dala od znanych jej osobiście sąsiadów.

Po tej dygresji na temat małżeństw żydowsko-katolickich, powróćmy do głównego wątku, antysemityzmu okresu przedwojennego. Otóż do złośliwych żartów dzieciaków należało rzucanie, wieczorem, łajnem krowy w okiennice żydowskich domów. Oby tylko tyle. Biedne kobiety, które często dźwigały na plecach z lasu, oddalonego o 3 km, ciężkie paki suchych konarów na opał, opowiedziały mi dawno temu, z odcieniem współczucia, o groźnym żarcie, który dotknął starego Żyda powracającego z taką paką. Młodzień pasąca bydło na pastwisku podeszła cicho, od tyłu i podpaliła dźwigane przez niego brzemień suchych konarów. Żyd wpadł w panikę, bo nie mógł się uwolnić od palącego się brzemienia. Dopiero wejście do rowu i oparcie ciężaru na jego krawędzi zezwalało na rozluźnienie wężła i uwolnienie od palącego się na plecach brzemienia. Biedak opalił włosy, uległ poparzeniom, ale winowajców nie spotkała kara. Było społeczne przyzwolenie na dręczenie Żydów i domowych zwierząt.

Ze smutkiem wspominam, że w Gniewczynie, na strychu u babci Marii Kulpy znalazłem stary, z 1926 roku, katolicki kwartalnik księży Pallotynów z Wadowic, który tylko w tytule był katolicki, ale w treści – antysemicki, ostro antysemicki. Przytoczę, bo trudno w to uwierzyć, połowę z ośmiu zwrotek wiersza:

Polskę od żydów racz wyzwolić Panie

Boże! Coś Polskę przez tak liczne wieki / Bronił od Szwedów, Turków i Tatarów, / Coś ją wyzwolił z niemieckiej opieki / I na proch starleś kajzerów i carów, / Przed Twe ołtarze zanosim błaganie: / Polskę od żydów racz wyzwolić Panie!

Żyd nasze miasta i wsie zawojował, / Handel i przemysł zabrał w swoje ręce, / Nawet uczelnie wyższe opanował / I kraj pogrążył w ubóstwie, w udręce; / Przed Twe ołtarze...

Żyd sieje bezwstyd i ludność rozpaja, / Karczmy i domy rozpusty otwiera, / Bolszewizm szczepi, Polaków rozdwa, / Mienie i zdrowie i rozum odbiera; / Przed Twe ołtarze...

Boże Wszechmogący i Ty Panno Święta, / Korony Polskiej Przeczysta Królowo! / Polska chce zrzucić te ohydne pęta, / Chce być naprawdę wolną, narodową, / Przed Twe Ołtarze zanosim błaganie: / Polskę od Żydów racz wyzwolić Panie!

Koronować Żydówkę na Królową Polski a wzywać do eksterminacji Jej rodaków? Czy jest w tym jakiś ład moralny? Przeczytałem także pięciostronicowy artykuł, oto wyjątki:

Żyd

[Żyd] porzucił własną ziemię, jął się włóczęgostwa z postanowieniem życia na cudzy koszt. Jak wesz, pluskwa, szarańcza, zarazek tyfusu, bakcyl cholery i dżumy... Zażądał równouprawnienia i " tolerancji" [czyli] poddania się świata chrześcijańskiego żydowskiej nawale i abdykuj, chrześcijaninie – wyrzekaj się wiary, narodowości, ziemi, nieba – oddaj coś nagromadził – spal Pismo święte, obal Papiestwo, przebuduj kościoły na synagogi, zapuść pejasy, włóż „cecele” i pójdź na żydowskiego parobka.. całe legje zdrajców własnego kraju, duszami i mózgiem zaprzędanych judaizmowi, dziesiątkami lat popełniają nieustającą zbrodnię zaprzaństwa narodowego... Całe to zbiegowisko opryszków najgorszego gatunku wyciska na masach narodowych odpowiednie piętno...

Żydzi nie oczekiwali przywilejów, ale mieli prawo upominać się o należne im miejsce w społeczeństwie z racji obecności ich spuścizny duchowej w naszej religii i tysiącletniej wspólnoty bytowania z nami, z racji polskiego obywatelstwa oraz wkładu w naukę i kulturę polską, bo wszystko im zawdzięczamy od filozofii religii (Biblia) po chrześcijaństwo (Jezus), nauki społeczne (Marks), psychologię (Freud) i fizykę (Einstein).

Karmelitanka Teresa Benedykta od Krzyża, z pochodzenia Żydówka, Edyta Stein, w kwietniu 1933 roku wysłała do papieża Piusa XI dramatyczny list z prośbą o potępienie prześladowań Żydów w hitlerowskich Niemczech.

„Wszystko, co dzieje się w Niemczech – pisała – wynika z działań rządu, który określa się jako chrześcijański... Oczekujemy i mamy nadzieję, nie tylko Żydzi, lecz tysiące wiernych katolików w Niemczech, i myślę cały świat, że Kościół Chrystusa podniesie swój głos i położy kres dziejącej się w imię Chrystusa niesprawiedliwości.”

Nie otrzymała od Piusa XI odpowiedzi, zginęła w 1942 roku, w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu-Brzezince.

Po wojnie odnaleziono przypadkowo „Pamiętnik” Dawida Rubinowicza, 12 letniego chłopca żydowskiego z Krajna, który na ocalałych 45 stronach szkolnych zeszytów opisuje, jak w lutym 1942 roku przeczytał dopiero co rozlepione we wsi niemieckie ogłoszenie podobne w treści do artykułów oo. Pallotynów z 1926 roku:

Żyd to oszust, jedyny twój wróg / Stań, przeczytaj widzu miły, / Jak Cię żydy osaczyły, / Brudną wodę da do mleka, / Zamiast mięsa szczura sieka, / Rozczyn ciasta z robakami, / ugniatany jest nogami.

W swoim pamiętniku pisze: *gdy stróż [to ogłoszenie] przybijał, to akurat ludzie szli od śniegu, tak się śmieli, aż mnie głowa rozboleła z tej hańby, jaką Żydzi w dzisiejszych czasach przeżywają. Aby Bóg dał, żeby ta hańba czym prędzej się skończyła.*

Niedługo po tym, 21 września 1942 roku, Niemcy wywieźli Dawidka do Treblinki. Ustalono na podstawie niemieckich zapisów, że jego transport zagazowano dzień później. Dawidek umierał w komorze gazowej, wraz z rodzicami i bratem, przez pół godziny w niewyobrażalnej męce duszenia się trującym gazem.

Wielka szkoda dla naszych sumień, że takie pozycje jak „Pamiętnik” Dawida Rubinowicza, czy „Dziennik” Anny Frank nie są brane pod uwagę jako lektury szkolne.

W dziewiątym dniu po wybuchu II wojny światowej Przeworsk zajęli Niemcy. Nadszedł czas lęku, śmiertelnego niebezpieczeństwa dla społeczności żydowskiej. W trzy dni później Niemcy spalili zabytkową synagogę, co zapoczątkowało akcję likwidacji żydowskiej gminy wyznaniowej. 27 września przyjechał do Przeworska 3 oddział operacyjny SD pod dowództwem dr Halselberga, który przeprowadził akcję wysiedlenia Żydów z Przeworska za San, na teren radzieckiej strefy wpływów. 1470 osób, w tym 505 mężczyzn, 553 kobiety i 412 dzieci, musiało opuścić miasto w ciągu doby, do następnego dnia, do 10. rano (z Dzienniczka Basi Rosenberg”, czternastoletniej uczennicy Szkoły Handlowej w Przeworsku).

Z Przeworska do Sieniawy, za San, jest około 25 km. Żydowskie rodziny rozpaczliwie potrzebowały wozów, jak wówczas mówiono, furmanek. Płacono nawet dziesięciokrotnie więcej, niż przed wojną. Zwiedzieli się o tym chłopci z okolicznych wiosek. Także z Gniewczyny wyruszyło do Przeworska na zarobek najmniej kilka a może nawet kilkanaście furmanek. Żydzi wyjeżdżali w atmosferze pośpiechu, lamentu i płaczu. Wykorzystali to wozacy żądając zapłaty z góry za przewóz. Po akcji wysiedlenia dwaj furmani z Gniewczyny, dwudziestolatek, który wypożyczył sobie konie u zamożnego sąsiada i czterdziestolatek, który miał własne konie a dwa i pół roku później wszedł w bandycką spółkę pomagającą Niemcom w pogromie żydowskich sąsiadów, przechwalali się swoim sprytem, wprost pysznili się z beczelną wesołkowatością, jak podwozili rodziny żydowskie tylko na czwartą część drogi do Sieniawy, do lasu przed wsią Jagieła. Tu zatrzymywali konie i grożąc batem i kląnąc przepędzali z wozu rodzinę.

Pozbawieni sumienia, za nic mieli tragedię ludzi, piski dzieci, płacze kobiet i lamenty mężczyzn. Nie bali się, mieli oparcie w niemieckiej policji i przyzwolenie społeczne na prześladowanie, mieli także siekiere pod ręką. Potem boczną drogą po lewej stronie Mlecзки wracali pędem do Przeworska z ofertą następnej „usługi”. Obracali tak po trzy razy w pierwszym dniu wysiedlenia i raz w następnym. To był dopiero geszeft, szwindel, podejrzany interes, podręczne słowa antysemitów rzucane w starozakonnych pod byle pretekstem a chętnie wprowadzane w czyn przez nas, nowozakonnych.

Tymczasem do wsi przyjechała niemiecka zmotoryzowana jednostka wojskowa. Sztab zajął szkołę na kwaterę. Przed gankiem szkoły dwu żołnierzy na warcie. Ruch duży przy wejściu. Prostując się i dostawiając wysuniętą nogę, raz po raz wyrzucali rękę hitlerowskim gestem przed starszymi od siebie. W godzinie robili to setki razy, zawsze tak samo, perfekcyjnie, niezależnie czy to przed starszym szeregowym, podoficerem czy oficerem. Następnego dnia rano, widzę na placu szkolnym młodego żołnierza, w pełnym oporządzeniu, skaczącego żabką dookoła ciężarowego samochodu, raz w jedną to znów drugą stronę, na komendę starszego rangą podoficera. Wykonał tak, za jakiejś tam przewinienie, kilkadziesiąt żabich skoków w tempie wrzaskliwych komend.

Ze szkoły usunięto ławki i w każdej z klas rozłożono po 30 materacy. Kwaterowało około 100 żołnierzy, bo w jednej z klas, tej na parterze od południowo wschodniej strony, zmagazynowali zapasy żywności. Wiem to, bo gdy odjeżdżali po parotygodniowym postoju, to przez okno tej klasy wyrzucali bochenki czerstwego chleba przywołując gestami chłopców. Były to ciemno-brązowe, kilogramowe razowce z brytfanek pieczone na zakwasie. Chleb

smaczniejszy od naszego. W pobliżu, obok płotu ulokowali kuchnię polową z dwoma wielkimi kotłami. Palili pod nimi od południa. Po paru godzinach przyjechały samochody z wojskiem. Wszędzie kręcił się i zarządzał szef sztabu, stale pokrzykujący wysoki trzydziestolatek z grubym notesem wciśniętym do połowy „za pazuchę” munduru. Kiedy próbował smaku zupy, ustawiała się kolejka żołnierzy z menażkami. Odchodząc od kotłów popisывał się, głośno rechocząc, znajomością polskiego: zupa-dupa, zupa-dupa... Pachniało smakowicie także w sąsiednim, naszym obejściu. Po godzinie kucharz bębniąc wielką łyżą w podniesione do góry wiadro przywoływał gapiących się chłopców po zupę. Sąsiadowaliśmy ze szkołą, więc chwyciwszy litrowy garnek podbiegłem pod kuchnię. Grochówka z jarzynami i mięsem! Takich smakowitości się u nas nie gotowało.

Kilka dni później byłem świadkiem niezapomnianej sceny. Ciepły dzień, popołudnie. Pędziliśmy z kolegami bydło na pastwisko, dwa kilometry poza wieś, w kierunku wschodnim, za linię kolejową na odcinku Trynca – Przeworsk. Kiedy do przejazdu kolejowego mieliśmy może sto metrów, zamknęły się rampy na przejeździe i za moment i ujrzelśmy zbliżający się, od strony Trynca, pociąg towarowy w odległości kilometra. Było go widać i słysać. Gdy wypadł z leśnego tunelu na otwartą przestrzeń łąk i pastwisk, włączył ostrzegawczy gwizd z lokomotywy parowej. Sygnał wzmocnił się echem w lesie tak mocno, że był wprost przeraźliwy, świdrujący uszy i spłoszył pasący się na łące, w zatoce lasu, tabun kilkunastu rasowych, młodych koni, po drugiej stronie torów.

Te sportowe, pod siodło, konie należały do dowództwa stacjonującej we wsi niemieckiej jednostki wojskowej. Pociąg zbliżał się do przejazdu, konie również. Spłoszone, uciekały w szalonym pędzie w tym samym kierunku co pociąg, bo pamiętały drogę ku stajni, przez widoczny z dala nasyp przejazdu kolejowego. Wyprzedzały lokomotywę może o kilkadziesiąt metrów. Maszynista widział konie po swojej lewej stronie, jak na dłoni, ale nie zwalniał, był pewny, że je wyprzedzi, więc przyspieszał. Chyba nie doceniał rasowych koni, wziął je za zwykłe, wiejskiego chowu zwierzęta, które się zatrzymają przed rampą. Potem było już za późno hamować.

Zastygliśmy z przerażenia. Hałasująca wściekle i nie przestająca przeraźliwie gwizdać lokomotywa i tabun spłoszonych, z rozwianymi grzywami koni, w większości siwych, pędziły na spotkanie, na oślep, jak ku przeznaczeniu, ku zagładzie, na krwawą rzeź. A rampy zamknięte na wysokości metra!

Wtedy zaparło nam dech. Pociąg nie mógł już przyspieszyć a nie zdążyłby zahamować. Nie przestawał tylko wyć jak opętany, cała para w gwizd! Konie nadal wyprzedzały nieznacznie front lokomotywy. W całym pędzie, bez wahania, poszły na rampy skacząc dwójkami (na tyle zezwalała szerokość przejazdu) przez jedną, potem drugą rampę. Płomień w oczach, rozwiane grzywy, odstawione ogony. Sekundę za ostatnim koniem przetoczyła się, z hukiem i wyciem lokomotywa.

Nasz strach ustąpił zachwytowi. „Nasze” konie miały niewiarygodne szczęście. Były już bezpieczne, a my wciąż, jak zaczarowani, mieliśmy w oczach tylko ten lot siwych, jabłkowitych koni, co jak ptaki fruwały nad rampami w pełnym galopie przed nosem pędzącej lokomotywy. Wiadomo, byliśmy całym sercem po stronie koni... Szczególnie takich jak te, wysokie, sucha noga, łabędzia szyja, rozdęte chrapy, wypukłe oko i to instynktowne parcie do przodu.

Nie każdemu zdarzy się przeżyć tak mocną scenę, jakby ze snu wziętą. Jeśli się zdarzy, to raz na całe życie! Nie wiedzieliśmy tylko, że te konie zostały zrabowane gdzieś tam, z polskiej stadniny.

Jeszcze nie doznaliśmy okrucieństwa niemieckich służb tyłowych, żandarmów, ss-manów i gestapo. My, dziesięciolatki, traktowaliśmy Niemców w kategorii zmiany władzy, nie utraty niepodległości. We wsi ludzie pamiętali chłopskie strajki pacyfikowane przez

swoich, granatowych, krzywdy ze strony urzędników i sądów, krzywdy ze strony ekonomów i polowych w folwarkach wschodniej Polski, gdzie małorolni harowali od wiosny za marny grosz i wracali – jak mój ojciec - na jesieni z kurzą ślepotą z powodu braku witamin. Nie znaliśmy jeszcze swoich praw obywatelskich a jedynie obowiązki: płacenie podatków, uchronienie rodziny od głodu, zapewnienie jej dachu nad głową, nierzadko ze zwierzętami przez ścianę.

Na razie rodziny żydowskie na wsi pozostawiono we względnym spokoju, ale do czasu! Tylko żarty w stosunku do Żydów stawały się coraz bardziej okrutne. Po wojnie słyszałem od szkolnych kolegów z odległej miejscowości, że kiedyś, wracając w niedzielę z kościoła spotkali żydowskiego chłopca na łące. Przywiązali go do dziko rosnącej gruszy, zdjęli spodnie i doprowadzili pasącą się w pobliżu kozę, aby ssła jego ciuraka. Opowiadając o tym jak chłopiec wył z bólu, pokładali się ze śmiechu. Póki co, panowały stare lęki i strachy przed oskarżeniem o mord rytualny: Żydzi śmiertelnie bali się wieści o zaginięciu czyjegoś dziecka, które mogło się utopić w Mleczce czy Wisłoku lub zabłądzić w lesie, ponieważ to na nich mogłoby paść oskarżenie, że smakuje im maca z dodatkiem krwi chrześcijańskich dzieci.

Można mówić z jednej strony o poczuciu religijnej i rasowej wyższości w stosunku do Żydów a z drugiej strony o zawiści, że rządzą pieniądzem a więc rządzą światem, mimo, że stokroć częściej niż zamożnych, spotykałem w Przeworsku, Sieniawie, Leżajsku czy Łańcucie ubogich chałasiarzy, nosiwodów, pośredników, zbieraczy starych łachów do wymiany za garnki, domokrażców sprzedających książki, zeszyty, ołówki, przybory do szycia oraz rzemieślników, szewców, krawców, ślusarzy, szklarzy, blacharzy, dekarzy, gonciarzy czy zegarmistrzów zamieszkujących sklecone z byle czego rudery nakrywane czarną papą, zlepione jedna przy drugiej, w długich rzędach przy bocznych, miejskich uliczkach, zwanych dumnie, jak wszędzie, tak i w Przeworsku, ulicą Kazimierską na cześć króla polskiego Kazimierza Wielkiego, władcy o otwartym umyśle i wielkodusznym sercu, który docenił lojalność i mądrość Żydów oraz uniwersalną wartość ich starożytnej kultury.

Wbrew opinii o chciwości Żydów, nie było większych skupisk miejskiej biedoty, niż żydowska, ale żydowski samorząd nie przerzucał ciężarów na barki państwa. Typowymi instytucjami dla społeczności żydowskich były fundacje pomocowe, sierocińce, domy dla starych ludzi, schroniska dla bezdomnych i stołówki dla ubogich.

Po wojnie, mój szkolny kolega, Miecio Maruszak, opowiedział mi związaną z Żydami przygodę swego dzieciństwa. Oto wczesną wiosną do jego domu w podleżajskiej dzielnicy Zmuliska wstąpił stary Żyd z prośbą o kubek wody. Pielgrzymował do grobu leżajskiego cadyka Elimelecha i zasłabł po drodze. Mama Meciecia zaproponowała kromkę chleba z masłem. Prosił pokornie: „bez masła”. A że chleb był już zbyt czerstwy a stary Żyd bezzębny, więc prosił nieśmiało, czy chłopiec mógłby przeżuć chleb dla niego. W końcu schował kromkę do kieszeni i bez urazy, z podziękowaniem i życzeniami „Wesołych Świąt i Pesach” powędrował do leżajskiego Ohelu.

Żydzi, z poczuciem moralnej przewagi i niezachwianej wiary we Wszechmogącego, ustępowali z drogi. To był ich wiekami sprawdzony sposób na przetrwanie, bo byli sierotami bez ojczyzny a takich, podobnie jak niepełnosprawnych na ciele i umyśle, lekceważyło się we wsi i poniżało. A oto skarga Żyda na nasze odrzucenie:

Nu, co to jest Żyd? Nu, jaki ty Żyd?... Ty się w to miasto urodził, toś ty nie obcy, toś swój, tutejszy, to ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz. Ty się wstydzić nie masz, dlatego żeś Żyd... Czy ja tu przyszedł jak do karczmy? Zjadł, wypił i nie zapłacił? Ja [tymi rękoma] zapłacił za każdy kęs chleba i za każdy kubek wody, co ja tu zjadł i wypił. Ja jeszcze i

te oczy przyłożył, co już dobrze patrzeć nie chcą, tego grzbietu, co nie chce już prosty być, i te nogi, co nie chcą mnie już nosić...

Ja się nie chcę wstydzić, co ja Żyd. Ja się nie chcę bać! Jak uny miłosierdzia w sobie nie mają, jak uny cudzej krzywdy chcą, nu, to uny nie są chrześcijany... Nu, to uny i nieludzkie są. To uny całkiem dzikie bestie są. A jak uny są ludzie, jak uny są chrześcijany, nu, to dla nich taka siwa głowa starego człowieka i takie dziecko niewinne też jak świętość będzie.
(„Mendel Gdański” – Maria konopnicka).

Żydowskie rodziny z niepokojem oczekiwały Świąt Wielkanocnych, kiedy młodzież miała zwyczaj wieszania, w pierwszych dniach Wielkiego Tygodnia, naturalnej wielkości kukłę Judasza na wysokim wiązcie przed oknami Trinczerów mieszkających najbliżej kościoła. Ubiór kukły pochodził ze skradzionej wcześniej żydowskim biedakom odświętnej garderoby. Wisiało to na oczach całej społeczności na pośmiewisko i hańbę Żydom rzekomo za śmierć Chrystusa. Lejba Trinczer, którego nazwisko pochodzi od nazwy gminy, od Tryńczy, musiał sam zdjąć kukłę a odważał się na to dopiero w parę dni po świętach. Zwyczaj wieszania Judasza kontynuowano jeszcze w 39 i 40 roku, zarzucono dopiero w 1941 roku. W okresie świąt wielkanocnych gniewczyńscy Żydzi, bojąc się aktów napaści inspirowanych liturgią i kazaniem wielkopiątkowymi, wcześniej niż zwykle zamykali okiennice i nie wychodzili z domów.

Hierarchia kościelna wysłała latem 1941 do rządu na emigracji następujące sprawozdanie:

„Co do sprawy żydowskiej – trzeba to uważać za osobliwe zrzęczenie Opatrzności Bożej, że Niemcy, obok mnóstwa krzywd, jakie narządzili i wyrządzają naszemu krajowi, pod tym względem dali dobry początek, że pokazali możliwość wyzwolenia polskiego społeczeństwa spod żydowskiej plagi i wytknęli nam drogę, którą, mniej okrutnie i mniej brutalnie, ale konsekwentnie iść należy. Jest to wyraźnie zrzęczenie Boże, że sami okupanci przyłożyli rękę do rozwiązania tej palącej kwestii, bo sam naród polski, miękki i niesystematyczny, nigdy nie byłby się zdobył na energiczne kroki, w tej sprawie niezbędne.”

„Pierwsi po diable” – Krzysztof Jasiewicz, ISP PAN 2001, za GW.

Złowieszcze pragnienie antysemitów stało się ciałem, gdy wiosną następnego roku Niemcy przystąpili do tzw. „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” (czytaj: wymordowania całego narodu żydowskiego łącznie z dziećmi, niemowlakami i ciężarnymi kobietami), także miejscowi przystąpili do ostatecznej obławy na rodziny żydowskie, chociaż nie musieli tego robić. Nie było to trudne, bo od dwu lat je „macali”, czyli śledzili gdzie się ukrywają.

Coraz częściej dochodziło do napadów dla wyłudzenia pieniędzy. Gdy Żydzi zaczęli się na noc w domach barykadować, miejscowi podjeżdżali przed świtem pod upatrzony żydowski dom z sikawką strażacką, wspinali się na dach i wlewali węzem wodę przez komin, dopóki właściciel nie otworzył drzwi. Brali okup na alkohol i znikali zanim ludzie wyszli z domów do pracy. Na podobne akcje wyjeżdżali także przed świtem do sąsiedniej wsi, Jagiely, oddalonej o 5 kilometrów. Tam, przy dwu przydrożnych, małych stawach gnieździło się kilka rodzin żydowskich. O świcie podłączali wąż strażacki do stawu, wspinali się na dachy biednych domostw i robili potop u tych prześladowanych, spodziewających się najgorszego, biedaków.

Nasi żydowscy sąsiedzi i współobywatele znaleźli się pod ścianą, zostali opuszczeni przez wszystkich, biednych, średnich i zamożnych gospodarzy. Dnie i noce trwali w nasłuchu, strachu i lęku. Jeśli ktoś Żydom we wsi, szczególnie matkom z dziećmi, pomagał z poczucia miłosierdzia, nie z chęci zysku, to właśnie kobiety, nie mężczyźni. Jeśli pomagały,

to zazwyczaj w tajemnicy przed swoimi chłopami, bo tu panował patriarchalny model małżeństwa. Żydowskie rodziny żyły teraz w przekonaniu o nieobliczalności katolickiego otoczenia, w poczuciu nie tylko zagrożenia zewnętrznego, ze strony okupanta, ale jeszcze groźniejszego, wewnętrznego, ze strony katolickich sąsiadów. Nasi sąsiedzi i współobywatele odczuwali to jako sąsiedzką i zarazem polską zdradę.

Czarna rozpacz ogarnęła rodziny żydowskie wiosną 1942 roku, gdy zdarzały się we wsi i okolicy pojedyncze wypadki zaginięć. Czas polowania na czarownice ruszył z miejsca, więc rodziny żydowskie rozpiechły się gdzie która mogła. Ukrywały się u zaufanych ludzi w przysiółkach na obrzeżach wsi, jak Poręby i Zawisłocze. Ci bez małych dzieci spali w oborach u zaufanych we wsi a w dzień kryli się w zagajnikach, w wiklinie nadrzecznej bądź w starych przybudówkach do stodół.

Po zmierzchu, na podwórko, między domem a oborą, do Jana D., na południowym skraju wsi, odległym o kilometr od najbliższej rodziny żydowskiej, weszła niepewnie mała, może siedmio, ośmioletnia dziewczynka. Zziębnięta, otulała się chustą „na plecy”. Wstąpiła, bo przechodząc obok usłyszała głos gospodyni dojącej mleko przy półotwartych drzwiach obory. Podeszła pod oborę. Dwie krowy, gospodyni na stołeczku, pochylona, ze skopkiem, przy wymieniu krowy. Nie wiedząc jak się zachować wobec obcej, czekała, aż gospodyni dokończy dojenia. „Ooo, czyjaś ty?”. „Głodna jestem...” Już nie zapytała „jak ci na imię”, bo doszło do niej: żydowskie dziecko. Nie chciała wiedzieć, aby móc się wyprzeć, gdyby co... Ona też ma dziecko, tylko mniejsze.

„Zaczekaj tu” – powiedziała i ze skopkiem mleka do chaty, do męża: „dziecko, dziewczynka od Żydów przyszła do obory, jest głodna.” To jego ojcowizna, więc on tu decyduje: „daj garnuszek mleka i niech idzie...”. Nie powiedział „daj dziecku jeść”, bo trzeba by zaprosić... Pominął wstydliwie nazwę podmiotu: „dziecko”, nie zamierzał też zobaczyć „dziecka od Żydów”. Gospodyni wraca z półlitrowym kubkiem mleka: „masz pij”. Czeką milcząc, bo nie chce dziecka ośmielać. Dziewczynka otarła wierzchem dłoni buzię, podniosła śmielej wzrok ku gospodyni. A ona: „no, idź już do domu”.

Nie podarowała kromki chleba, nie zaproponowali noclegu, choćby w oborze, nawet nie przytuliła, nie pogłaskała, nie uśmiechnęła się do dziecka-sieroty. Bała się samej siebie, że ulegnie pokusie współczucia dla dziecka „od Żydów”...

Dwie niepełne rodziny Semków i Lejzorów schroniły się w starym młynie blisko leśniczówki. Miejscowych chłopców penetrujących to miejsce, po ucieczce tych rodzin stąd na stare wisłoczysko, obsiadły tysiące pcheł – oto warunki w jakich gnieździł się ci ludzie. Dwie młode dziewczyny przyjęła bardzo zacna rodzina Skibów, mieszkająca za mostem na Mlecze, przy skrzyżowaniu dróg. Troje osób próbowała przechować pewna gospodyni w Gniewczynie Trynieckiej, ale jej bliski krewny, jeden z mafii, naprowadził żandarmów i zastrzelili ich w lesie, po drodze do Wólki. **Żona Lejzora uciekła wraz z małoletnim synem Herszem do swojej siostry w sąsiedniej, położonej z dala od dróg głównych, wsi Chodaczów, gdzie żyły jeszcze we względnym spokoju trzy żydowskie rodziny: Szłomów, Kopelów i Mordków (patrz .**

Trinczerowie, Leiba i Szangla zgodzili się oddać najmłodsze dziecko, dziewczynkę o jasnych włosach i niebieskich oczach, jak ojciec, Lejba, bezdzietnemu małżeństwu Łabuzów, sąsiadom z naprzeciwka. Dziecko przebywało już z nimi przez pewien czas, do pamiętnego maja 1942 roku, kiedy to miejscowi dołączyli ją, w geście „łączenia rodzin”, do czekających na śmierć rodziców. Patrząc na dziecko człowiek zapomina o nienawiści, oni nie zapomnieli...

Otóż w maju 1942 roku, miejscowi, koalicja a może lepiej powiedzieć spółka gromadzkiej „elity”, mianowicie szef Ochotniczej Straży Pożarnej (z mandatu społecznego), aktywiści Straży i zarazem najbliżsi sąsiedzi żydowskiej rodziny Trinczerów, sołtysi i ich pomocnicy zwani pachółkami (teraz z mandatu okupacyjnego) z obu części wsi, Łańcuckiej i Trynieckiej oraz bezideowe skrzydło ruchu oporu (może dzika „partyzantka”, z samowolnego mandatu) urządzili obławę na miejscowe rodziny żydowskie, wyłapując większość osób dorosłych i dzieci z 8 rodzin. Wsadzili nieszczęśliwców na wozy, jak świnie i cielęta wiezione na jarmark, teraz z uzbrojoną obstawą i dowieźli ich do domu Lejby i Szangli Trinczerów w środku wsi, w bliskim sąsiedztwie kościoła i plebani, niedaleko szkoły. Jeśli hitlerowski program eksterminacji Żydów był jak miażdżący walec, bezosobowy, to „macanie”, osaczanie i denuncjowanie przez katolickich sąsiadów każdej żydowskiej rodziny, każdego żydowskiego dziecka z sąsiedztwa było osobowe, twarzą w twarz, więc było nieludzkie, nie do opisania, nie do uwierzenia. Okrucieństwo tego postępu było jak uderzenie obuchem w głowę.

Uwięzili wszystkich w ciemnej komorze, bez okna, tylko z lufcikiem wentylacyjnym. Pozbawienie ich prawa do wolności i sprawiedliwości wróżyło najgorsze. W gruzy rozpadał się ich dotychczasowy świat z jego sprawami ważnymi i błahymi. Podobnie jak esesmani w Oświęcimiu, oprawcy zastosowali kamuflaż, łudzili więźniów, że pozostawią ich przy życiu, jeśli oddadzą pieniądze, złoto i powierzone zaufanym ludziom ubrania, buty i inne rzeczy, i jeśli dzieci nie będą płakać a dorośli nie będą stawiać oporu. Ten kamuflaż sprawił, że nieszczęśliwcy przeszli od szoku po obławie i uwięzieniu do nadziei, że Wszechmogący odmieni ich los. Nie wiedzieli, że wyrok na nich już zapadł, że ich tragiczny los już się wypełnił, że po gwałtach i torturach będą jeszcze patrzeć na śmierć swoich dzieci.

Miejscowi, spółka gromadzkiej „elity”, którą dziś nazwalibyśmy miejscową mafią, rekrutowali się z ówczesnej, wiejskiej klasy średniej. Reprezentowali władzę administracyjną okupanta i dysponowali siłą fizyczną, w tym nielegalną bronią. Ich funkcje wzajemnie się uzupełniały. Mieli szerokie pole dla korupcji (ustalanie wysokości kontyngentów dla poszczególnych gospodarstw oraz ustalanie list na wywózkę do przymusowej pracy w Niemczech) i mieli rozpasaną ochotę na gwałty na wyjętych spod prawa i miłości bliźniego żydowskich kobietach.

Najaktywniejszym, najbardziej zdemoralizowanym i okrutnym spośród mafijnej spółki, był szef miejscowej, kilkunastoosobowej Ochotniczej Straży Pożarnej. Brał także udział w pogromie 10 rodzin żydowskich w sąsiedniej wsi Jagieła. Biedacy, nawet gdyby chcieli, nie mieli dostępu do mafijnej spółki a członkowie zamożnych i zacnych rodzin takich jak Dałomisów, Rachwałów, Chruścielów, Czerwonków, Słyszów, Drysiów, Jagielów, Chmurów, Rachwałowskich, Sidów, Matyjów i innych, podobnych im rodzin nie chcieli do mafijnej spółki należeć z szacunku do samych siebie. Nikt we wsi nie „podskoczył” mafijnej spółce z obawy przed zawyżeniem kontyngentu, wywózką a nawet śmiercią.

Niestety, ideowe skrzydło Armii Krajowej reprezentowane przez miejscowych studentów z wyżej wymienionych rodzin a wspierane przez znaczącą wówczas osobę płk Antoniego Chruściela z Komendy Głównej AK w Warszawie, nie przyjęło na siebie roli szlachetnego, dzielnego szeryfa. Nie było ideowo zmotywowane do ochrony żydowskich sąsiadów i współobywateli, więc – na nieszczęście dla żydowskich rodzin – między mafijną spółką a ideowym skrzydłem AK ustalił się pewien stan równowagi sił. Zapanowała niepisana zasada nie wchodzenia sobie nawzajem w drogę. Każda ze stron dysponowała na tyle siłą, aby móc

drugiej zaszkodzić bezpośrednio, środkami przymusu, lub pośrednio przez donos do okupanta.

3. BEZPRAWIE CZASU OKUPACJI

*Nie ten gniazdo kła, co je kła,
Ale ten, co mówić o tym nie pozwala.*
C. K. Norwid

Tu zatrzymam na chwilę tok relacji o żydowskich sąsiadach, aby opowiedzieć jak rok wcześniej doszło, jedyny raz podczas okupacji, do współpracy ideowego ruchu oporu z miejscową mafią, kiedy w odwecie za zastrzelenie niemieckiego żołnierza na wiejskim festynie groziło rozstrzelanie 50 miejscowych mężczyzn, zakładników z łapanki. Oto kilkanaście miesięcy wcześniej, jeszcze przed napaścią na Związek Radziecki, we wsi, w okresie letnim, miejscowa Straż pożarna organizowała każdej niedzieli zabawę taneczną w plenerze, zwaną festynem, wówczas w centrum wsi, obok mostu na Mleczce.

Odgłosy orkiestry dochodziły do miejscowej szkoły, gdzie stacjonowała jednostka Wehrmachtu. Pewien młody żołnierz w mundurze feld grau, jeszcze bez stopnia wojskowego, prawdopodobnie Ślązak, bo mówił także po polsku, „urwał się” wieczorem, bez przepustki, na ten festyn. Był nie uzbrojony, tylko z bagnetem przy boku. Chciał zatańczyć a może i poderwać jakąś dziewczynę.

Chcąc się najpierw nieco rozejrzeć, stanął, onieśmielony, poza kręgiem młodzieży otaczającej platformę dla tańców. Nie był pewny co mu wypada robić, więc przystanął zasłuchany w tęskny, rzewny i zarazem agresywny zew ludowej muzyki. Może przypomniała się mu rodzinna wioska i potańcówki? Tu nie było światła elektrycznego, więc na narożnych słupkach ogrodzenia podłogi wisiały lampy naftowe. Wieczór pod gwiazdami, ledwie rozświetlony mrok, bachiczny nastrój otoczenia, śmiechy dziewcząt i obejmujące się pary podkreślały zmysły i ośmielały młodzież. On też poddał się nastrojowi chwili.

I wtedy ktoś z dzikich „partyzantów” strzelił od tyłu, z nielegalnej broni, w głowę zasłuchanego, młodego żołnierza, któremu tęskno było do śmiechu dziewcząt. Runął na twarz! I, jakby nigdy nie żył... Nie wiadomo który z podczepiających się pod AK popełnił – w pijanym widzie – ten tchórzliwy i haniebny mord. Zastrzelić niewinnego chłopaka, który przybył jako gość, nie wróg, na wiejski festyn?

Opadła muzyka, towarzystwo rozbiegło się z piskiem i krzykiem, jakby je wiatr zdmuchnął. Strach padł na wieś tej nocy. Starsi nie spali, młodzi uciekli ze wsi. W drugim dniu, rankiem na szkolne podwórze zajechały dwa samochody ciężarowe. Na odkrytych platformach czarne wojsko, młodzi, rasowi blondyni. Wstają z ławek przytwierdzonych do burt samochodów, rozmawiają, gestykują, zapalają papierosy. Właśnie wracam skądś tam do domu, przesuwam się jak tylko można najwolniej wzdłuż szkolnego płotu, patrząc zaciekawiony, z odległości pięciu metrów, na wysiadających ss-manów, na ich piękne, nowe jak z żurnalu mundury, lśniące buty z cholewami, zadarty wyzywająco front czapek z trupimi główkami. Podziwiałem ich, ten błysk młodości, zdrowia i elegancji. Jeszcze zwyciężali na wszystkich frontach.

W mig zebrali może setkę żołnierzy Wehrmachtu pod swoje komando i rozbiegli się po wsi grupami po kilku. Kopniakami i kolbami otwierali domy i wyprowadzali mężczyzn. W naszym, sąsiadującym ze szkołą, domu drzwi otwarte na przestrzał. Od strony drogi widać przez sięn uchylone drzwi do obory. Może mama instynktownie otworzyła dom, aby pokazać, że nie mamy nic do ukrycia, bo minęli nas. Ojciec był ukryty za drzwiami obory; otwierały

się do wewnątrz, więc dawały szansę na ukrycie. Do sąsiedniego domu podeszło dwu w feld grau z karabinami i w hełmach. Drzwi zamknięte. Jeden wali kolbą, raz, drogi i coraz mocniej. Dałomis Antoni i Nadia nie otwierają. Barczysty Niemiec cofa się pięć kroków i z rozpędu wali spodem podkutego buta z cholewami w drzwi. Nie puszczają, więc taranuje jeszcze raz. Wreszcie odступują, nawet okna nie rozbijają, może dlatego, że nie było w pobliżu ss-mana.

Przed południem zgromadzili w szkole 50 zakładników. Postawili wójtowi i sołtysom ultimatum: jeśli za cztery godziny nie znajdzie się morderca żołnierza, rozstrzelają zakładników i spalą wieś. Zagrożenie dla całej społeczności wiejskiej skazało ideowe skrzydło AK na chwilową współpracę z miejscową mafią, w tym z dzikimi partyzantami i z policją granatową w Tryńcy. Przywołana na pomoc granatowa zastrzeliła pewnego wieśniaka z sąsiedniej wsi Gorzyce, rzekomo kapusia, którego i tak należało – tak mówiono – zlikwidować, włożyła mu za pas spodni pistolet z którego strzelono do żołnierza i przedstawiła oczekującym ss-manom jako tego, który jest poszukiwany za mord na żołnierza. Nie wiadomo, czy uwierzyli, ale pasowało im to do meldunku. Odstąpili od zapowiadanego odwetu. Odjechali.

Tłem dla tragicznego losu żydowskich rodzin były także inne złowrogie wydarzenia. W lesie, kilka kilometrów od domu, w drodze do Wólki Małkowej, przy starym zalewie Wisłoka, zastrzelono prostą dziewczynę z biednej rodziny, Anielę P. Mordercy puszczali szeptaną propagandę, że zginęła z wyroku AK za romans z niemieckim żołnierzem, któremu mogła zdradzić nazwiska miejscowych partyzantów. Ładna była, naprawdę ładna, najładniejsza w tej części wsi. Wysoka, zgrabna, wesoła, z ujmującym uśmiechem, burzą wyjątkowo grubych włosów z odcieniem miedzi, splatanych w warkocz o grubości przedramienia – przedmiot zazdrości miejscowych dziewcząt. „Wymacali” ją kiedy szła przez wieś, obok sklepu, karczmy i młyna, potem przez dwu kilometrowy odcinek lasu do oddalonej o 10 km Gminy Tryńcza po przydział marmolady dla najbiedniejszych rodzin. Pojechali za nią rowerami. Oczekali aż znajdzie się przy wysokiej skarpie nad starym, bagiennym rozlewiskiem Wisłoka. Tu ją dopadli, sprowadzili ze skarpy w dół, w krzaki przy płytkim, bagiennym rozlewisku. Jej krzyk dałby się słyszeć daleko a droga leśna była tuż, pora przedpołudniowa. Więc na pewno zastosowali prosty bandycki kamuflaż: „dawałaś d... szwabowi, to za karę dasz nam, tylko po cichu, wtedy cię puścimy, jeśli nie, pier... w łeb z wyroku AK”. Gwałt doskonały, po cichu, do syta i bez poczucia grzechu, bo w imię Ojczyzny! To żądza gwałtu i krwi była głównym motywem mordu, nie romans z niemieckim żołnierzem ze stacjonującej tu jednostki wojskowej. Gwałt i tchórzliwa, haniebna zbrodnia popełniona w imię Polski Walczącej. Ukryli ciało pod gałęziami, wrócili wieczorem, wykopali dół, zabrali ubranie, zepchnęli ...

Pijaństwo szumowin było we wsi sposobem na zabijanie wolnego czasu, więc gdy sprawa przycichła, dzicy „partyzanci” przy wódzie przechwalali się wśród kołesiów „łupem wojennym”. Szeptana wieść o tym doszła do rodziców, Walentego i Marii P. Rozpoznali ciało córki tylko po warkoczach bujnych włosów w kolorze miedzi. Brak ubrania i nawet bielizny oskarżał... Jakby słyszeli pełen rozpacz szloch Anielci. Odtąd matka żyła tylko pamięcią swej miedzianowłosej córki, jej uśmiechem, lękiem i śmiercią. Odwiedzała to straszne miejsce, przystawała na długo na skarpie nad dawnym, błotnistym zalewem Wisłoka oczekując na przygodne, przechodzące tędy kobiety, aby do nich wypłakać całą tęsknotę za Anielcią, pokazywać od nowa to straszne i święte dla niej miejsce, gdzie rozpoznała swą jedyną córkę po grubym, bardzo grubym warkoczach i po miedzi, nieśmiałym teraz, blasku jej włosów...

W drugiej połowie 1941 roku, po napadzie Hitlera na Związek Radziecki, znikła granica na Sanie, między strefami okupacyjnymi, między katolickimi Gorzycami od zachodu a prawosławnym Leżachowem od wschodu. Ze Lwowa i okolic zaczęły napływać niepokojące wieści o pożarach i mordach na katolickich rodzinach. Potem pojawili się pierwsi uchodźcy z Wołynia. Narastała atmosfera strachu przed prawosławnymi i chęci odwetu na nich. Pojawiło się społeczne przyzwolenie na odwet. Łatwo było na tej fali „samoobrony” ubić własny interes.

Pewnego jesiennego wieczoru na podwórzu do kuma W. wtacza się dwukonny wóz po wypadzie za San, do biednej, prawosławnej wsi Leżachów. Furmani zamykają za wozem bramę, wchodzi do izby, witają obecnych – „Pochwalony...”. „Na wieki...” „O, pewnie coś pilnego, kiedy razem...” – mówi gospodarz. „Najpierw coś na rozgrzewkę...”. Wyjmują flaszkę samogonu. „Pobawcie się dzieci w sieni...” mówi ojciec i otwiera zachęcająco drzwi. „Tam też jest lampa...”.

No, niechby spróbowały nie wyjść. Ale najstarsza, 12-latką, nad wiek bystra i wszystkiego ciekawa, stanęła przy drzwiach, przyłożyła ucho... „Co na wozie, przechować – kozuchy, skóry, łachy, żeleźniaki...” Po dłuższej chwili, po paru kieliszkach: „...starym kulka w łeb, młodą, ze czternaście lat miała, my wypier..., potem kulka w łeb...za Wołyń, job ich mać...”

Okupacja była też okazją do sąsiedzkich porachunków o miedzę bądź dziewczynę. Zima 41/42, mróz dochodzi do 20 stopni. Wstaje świt, rodzinę Ciupów- Broniewskich na obrzeżu wsi, od strony Przeworska, budzi łomot do drzwi i seria z automatu. Drzwi ustępują. Wpada trzech z automatami, w białych kozuchach. Dwóch pozostało na zewnątrz. Gestapo! Wyciągają syna, Wojtkę, z łóżka, wyprowadzają w białiznie i boso przed próg domu, na mróz. Jeden trzyma go pod automatem, pozostali poszukują broni. Wojtek niby kuli się od mrozu, ale tak naprawdę to przygotowuje się do skoku. Ciężarem ciała powala gestapowca w śnieg i znika za rogiem domu, po skarpie w dół i na stare rzeczysko.

Ci wewnątrz, zaalarmowani strzałem, wypadają z domu i razem pędzą za Wojtkiem. Próbuje uciekać na bosaka po lodzie, bo po głębokim śniegu byłoby gorzej. Sieją za nim z pięciu automatów. Wojtek pada. Ktoś z miejscowych oskarżył go o broń. A, że gestapo budziło grozę, Wojtek się wystraszył. Broni jednak nie znaleźli, więc miałyby szansę uratować życie. Odwiedzał nas często w długie zimowe wieczory, dobrze zbudowany, wesoły i spokojny, mocna, młodzieńcza twarz, białe zęby w szerokim, szczerym uśmiechu. Mimo zakazu, rodzice odkopali nocą Wojtkę znad rzeczyska, i przewieźli ciało saniami na poświęcone miejsce, cmentarz, bez oznaczania grobu.

Dziewczyna, którą pokochał wbrew woli jej rodziców a może i wbrew woli kogoś innego, dziewczyna z którą spotykał się po kryjomu przy oborze, w czas wieczornego udoju mleka, wyszła po wojnie za mąż. Nie była długo w tym związku a po latach samotności popęłniła samobójstwo...

Zarówno los, bezbronnego wtedy, niemieckiego żołnierza, któremu tęskno było do tańca na wiejskim festynie, zbiorowy gwałt na miedzianowłosej, atrakcyjnej Anieli P. i mord na niej, donos do gestapo na Wojtkę Ciupę/Broniewskiego z pobudek osobistej zemsty, zbójckie wypadki za San jak pod pozorem „samoobrony” przed prawosławiem i zabójstwo Teodora Kutynicza, kierownika miejscowej szkoły, w lesie na drodze do Tryńczy, rzekomo za to, że był Ukraińcem, źle wróżyły żydowskim rodzinom, kiedy nadszedł maj 1942 roku. Ten stan bezprawia był tłem dla pogromu Żydów w Gniewczynie, w maju 1942 roku.

4. U TRINCZERÓW

*Znikły resztki ostatnie, żydowskie lachmany,
Krew piaskiem przysypano, ślady uprzątnięto
I wapnem świeżym czysto wybielono ściany,
Jak po zarazie jakiejś lub na wielkie święto.*

Elegia miasteczek żydowskich – Julian Tuwim

Bo właśnie mroczne emocje okrutnych wieśniaków owładniętych żądzą seksu z młodymi i ładnymi żonami żydowskich sąsiadów, matkami dzieci, oraz żądzą rabunku, zachęczone nazistowskim programem zagłady narodu żydowskiego, klimatem religijnego i społecznego przyzwolenia na poniżanie Żydów, sięgnęły zenitu. Zmotywowani hitlerowskim hasłem, że *żydostwo to przestępstwo*, dali upust drzemiącej w nich zwierzęcej agresji. W dzień przepędzali nieszczęśników do izby i pilnowali ich pod bronią, bo tłumiąca dźwięki i pozbawiona okien komora potrzebna była do gwałtów i tortur. Złamano uwiezionym ich poczucie godności i pohańbiono człowieczeństwo: kobiety przeprowadzano z izby do komory uspokajając ich mężów, że tylko na przesłuchanie, podczas gdy w rzeczywistości gwałcono je pojedynczo i zbiorowo, mężczyzn torturowano celem wskazania, gdzie ukryli części garderoby i pieniądze. Kuchnia między tymi pomieszczeniami służyła za dyżurkę, gdzie miejscowi się zbierali, naradzali, pili wódkę. Kilku bosów mafijnej spółki decydowało o torturach i gwałtach, kto kiedy i kogo oraz o tym kiedy te rodziny z dziećmi wydać hitlerowcom na śmierć, aby nie stały się w przyszłości świadkami oskarżenia.

Na razie miejscowym najbardziej zależało na milczeniu ofiar w obawie, aby jakieś niewiasty, szczególnie ich żony, nie usłyszały płaczu i krzyków ofiar. Ciekawskich i litościwych informowano, że taki jest rozkaz gestapo. Uwieszenie rodziców z dziećmi gwarantowało miejscowym milczenie ofiar. Gwałcone kobiety dusiły szloch, aby nie straszyć przede wszystkim własnych dzieci a mężczyźni nie mogli, bo podczas tortur robiono im mostek na stołku, kneblowano usta i wlewano wodę do nosa. Dobrzy ludzie są słabi. Zarówno ci, którzy przebywali z dziećmi, jak i ci, którzy byli od nich odrywani musieli tłumić płacz. Oprawców z obu części Gniewczyny, Łańcuckiej i Trynieckiej mogło być do dziesięciu. Do dziś nie wiem, dlaczego na areszt wybrano dom Trinczerów, w środku wsi, tuż przy drodze, w sąsiedztwie plebani, wikarówki, organistówki i kościoła, niedaleko szkoły, zamiast na obrzeżu i w oddaleniu od drogi. Może zadecydowała o tym dostępność uczęszczanego przez ludzi miejsca i poczucie zupełnej bezkarności oraz fakt, że dwu a może trzech z dziesięciu mafiosów mieszkało w sąsiedztwie tego domu.

Ludzie we wsi nie byli zorganizowani, nie inwestowali energii w sprawy gromady, swoje opinie wypowiadali tylko za zamkniętymi drzwiami. Mieli dość swoich kłopotów z wykarmieniem dzieci, z chorobami, z brakiem odzieży, opału i światła. Byli od wieków przyzwyczajeni, że władza należy do *pana, wójta i plebana*. Byli skażeni myśleniem niewolnika. Jeszcze pamiętali czasy dworu i zaborów, kiedy pan miał prawo ich uwięzić, ekonom bić po pysku, kiedy proboszcz miał prawo rzucić na nich z ambony klątwę, po której stawali się wykluczeni ze wspólnoty, kiedy wójt miał prawo samowolnie wyznaczać pobór do wojska zaborców, szarwarki i podatki. Ludzie byli manipulowani i traktowani co najwyżej protekcjonalnie, więc nie chcieli się społecznie angażować, zatykali uszy na zło, które nie dotyczyło ich bezpośrednio.

W domu Trinczerów, który teraz stał się ich więzieniem, najczęściej gwałcone były dwie młode i ładne kobiety: Szangła, żona właściciela domu Lejby Trinczera, matka trójki małych dzieci i córka Lejzora z Trynieckiej a żona mieszkańca Jarosławia, nazwiska nie

pamiętam, też Szangla, matka dwojga małych dzieci. Właśnie tej drugiej Szangli udało się wyrwać z rąk miejscowych w chwili przeprowadzania jej do komory na seans gwałtu. Wybiegła za płot, na przeciwną stronę drogi, potem doliną kościoła ku ławie na Mlecze, za ławą – w górę rzeki, nadbrzeżną, mało uczęszczaną ścieżką wzdłuż rzadko rozstawionych domów. Biegła jak oszalała mając nadzieję, że zdoła się oderwać od goniącego ją prześladowcy. Zdołała dopaść najbliższej stodoły Musiałów, przy której był wychodek – tu się skryła. Ale prześladowca nie zgubił ofiary. Wyciągnął ją za włosy. Próbowала go przekupić ofiarując złoty łańcuszek zaszyty w ubraniu. Szlochała, błagała, znali się, jak wszyscy we wsi, był jej rówieśnikiem. Ponury spryciarz nie dał się ubłagać. Wczepił się łapą w jej włosy i dowlóknął ją z powrotem. Ludzie udawali, że tego nie widzą...

Szangla miała nadzieję sprowadzić ratunek dla dwójki swoich dzieci. Może paść na kolana przed proboszczem lub wikarym i prosić o pomoc? Nigdy się nie dowiemy. Możemy tylko przypuszczać, że chciała postąpić jak jej babcia Semkowa dzień później, kiedy to skoro świt, przybiegła pod kościół przed pierwszą mszą, i klęcząc u drzwi czekała na chwilę, kiedy ksiądz i pierwsi staruszkowie będą wchodzić do kościoła. Wyciągała do nich z płaczem ręce prosząc o ratunek dla rodziny. Bezskutecznie. I zaraz musiała uciekać, bo zaczynał się ruch we wsi. Do kościoła nie mogła wejść z obawy, aby nie oskarżono jej o profanację Hostii.

Kiedy po domach poszła wieść, że miejscowi uwięzili żydowskie rodziny w domu Lejby Trinczera, natychmiast tam pobiegłem. Z ciekawości i ze współczucia. Miałem 12 lat. Drzwi wejściowe były lekko uchylone. Nie zdziwiło mnie to. Wszedłem śmiało do sionki, bo często tu bywałem jako goniec w sprawach handlowych. Kuchenka na wprost otwarta. W swojej naiwności usiadłem na ławie naprzeciw otwartych drzwi głównych i drugich, kuchennych. Tak się robiło w oczekiwaniu na właściciela.

Zaskoczyły mnie jakieś jęki. KobiECE! Sthumione, płaczliwe. Wciąż od nowa. Rozróżniałem coś, co brzmiało jak „juuuze...juuuze...juuuze... i tak kilkanaście razy (we wsi najczęściej było Józków i Franków – to spuścizna po austriackim zaborze, cesarzu Franciszku Józefie). W miarę, jak to się powtarzało, wzrastał we mnie niepokój. Ktoś umiera w komorze po lewej? Te odgłosy były tak przytłumione, że nie mogły być słyszane w izbie po mojej prawej stronie, gdzie przetrzymywano pozostałych, w tym dzieci. Wtedy nie mogłem się domyśleć, że ktoś pod bronią pilnował śmiertelnie przerażone ofiary w izbie, inni gwałcili jedną z matek w komorze. Za zachętą okupanta i milczącym przyzwoleniem kościoła hańbili najbardziej prywatne, najintymniejsze strony kobiety i rodziny!

Nagle, jak spod ziemi, zjawiał się przede mną facet wysoki, dobrze zbudowany, ale nie miejscowy, ich sprzymierzeniec, który dopiero co opuścił kuchnię, wyszedł za dom za potrzebą (tam był wychodek) i właśnie powrócił. Przypadł do mnie, zasyczał ze złością „co tu robisz?”, chwycił mnie za kołnierz, szarpnął ku wyjściu i wykopał za próg domu. Zgłupiałem, zdumiony i przestraszony zarówno gwałtowną reakcją, jak i tłumionym sykiem tego strażnika „domu umarłych”. Skąd ta agresja a równocześnie dbałość o zapewnienie ciszy? Bo tu była cisza jak w ostatnim kręgu piekła Dantego. Matki, gwałcone, tłumili płacz i jęki chcąc chronić swoje dzieci; gwałciciele zadbali o to, aby wszystko odbywało się w sekrecie i po cichu. Bezwiednie wypełniali ponury, złowróżbny rozkaz Hitlera przed atakiem na Polskę: „...bądźcie bezlitośni, nasza przewaga daje nam do tego prawo.”

W międzyczasie pachołkowie sołtysów z Łańcuckiej i Trynieckiej części Gniewczyny krążyli po wsi i na podstawie torturami wymuszonych zeznań odbierali zimowe odzienia powierzone na przechowanie u zaufanych ludzi, grożąc – w razie odmowy – że zjawi się tu gestapo. Tak było u litościwej Marii z Kulpów:

- Pochwalany, nima Jantka?
- Na wieki, zaraz przyjdzie.
- Eh, pilno mi...
- A co tam znowu?
- Eee,nic, ja tylko po te żydowskie łachy...
- Jakie łachy? U nas nima żadnych...
- Są, Marynka, są, ty se przypomnij...
- Sumiennie wam mówię, że nima!
- Lejba zeznał, że u ciebie...
- Niech se Lejba przyjdzie sam!
- Oddaj płaszcz zimowy i kapelusz!
- Sumienia ni macie?
- Ja na służbie, jak nie, to przyjdzie gestapo...
- A żeby was...zaczekajcie...a co z dziećmi Lejby?
- Ja nic nie wiem.
- Oj, sumienia nie macie, nie macie...

Gdy miejscowi, ojcowie rodzin i pobożni katolicy nasycili się gwałceniem kobiet, gdy wszystko zrabowali, a dzieci, matki i ojcowie osłabieni płaczem, bólem, panicznym strachem, ciemnością, bezsennością, pragnieniem i głodem, byli na samym dnie nieludzkiej rozpacz, wydali ich hitlerowcom na śmierć, aby ofiary nie mogły świadczyć o gwałtach i torturach. Drugiego dnia, późnym wieczorem, z kolejowej budki nr 3 na pograniczu Gniewczyny i Gorliczyny usłuźnie powiadomili przez telefon policję okupanta w powiatowym mieście Jarosławiu, że „uzbierało się dużo Żydów, aż osiemnaście”... Na czas telefonowania do okupacyjnej żandarmerii jeden z kolaborantów wyprowadzał pracownika kolei za budynek, usprawiedliwiając to koniecznością ochrony tajemnicy AK.

Oto jak najniższe instynkty zerwały się ze smyczy. Oto ci sami ludzie, którzy w swojej rodzinie byli kochającymi ojcami, dla dzieci żydowskich sąsiadów stali się katami. Jak można pogodzić wpisana w tożsamość człowieka empatię, zdolność do współczucia zrodzoną ze świadomości, że inni odczuwają podobnie, w języku wiary – sumienie, z czynami tak strasznymi, jak uwięzienie niewinnych matek z dziećmi i ojców, tortury i gwałty z zamiarem wydania na śmierć? Choroba to prostaczków, ciemnych, chciwych i okrutnych wieśniaków, czy choroba naszej tożsamości?

Mafia z komendantem Straży Pożarnej na czele przygotowała warunki do mordowania żydowskich rodzin tu i zaraz, na miejscu, przy czym nie zapomnieli zadbać o swój wizerunek, chcieli do końca pozostać niewidoczni. W tym celu wykorzystali, jako parawan dla siebie, biedne i dobre, lecz nieco naiwne chłopisko, Walentego Miarę z Trynieckiej części Gniewczyny do wykopania dołu jak na padłe zwierzęta za domem Trinczerów, od strony wschodniej. Dom stał poprzecznie do podrzędnej drogi, więc miejsce było dobrze wybrane, niewidoczne dla przechodniów. Dół przed przyjazdem żandarmów z Jarosławia, był gotowy. Opowiedział mi o tym Janek Z. po przeczytaniu relacji o Trinczerach.

Trzeciego dnia męki żydowskich rodzin przyjechało, przed południem, 4 żandarmów w hełmach, z karabinami. Dwaj mówili po niemiecku, pozostali po rosyjsku a może ukraińsku. Najpierw zasiedli do przypochebnego posiłku, pachnącej kielbasy, świeżo upieczonego chleba i alkoholu. Potem spisali personalia ofiar potrzebne do meldunku (bo u nich „Ordnung must sein!”) i kazali wyprowadzić Żydów przed dom. Wyszli ustawiając się półkolem, jak wilcze stado, w głębi podwórka a miejscowi wypychali ofiary z komory na zewnątrz domu. Trinczerów, Lejbę, Szanglę i trójkę ich dzieci wypchnięto

jako pierwszych. Jeszcze nie wiedzą, że ich dom za chwilę stanie się miejscem ich śmierci. Nasz katolicki wstyd i polska hańba!

Na razie ustawili się z boku podwórka, od strony drogi i przygarniali dzieci między siebie. Lejba zasłaniał je własnym ciałem a był wysoki, barczysty. Teraz wszystko przyspieszyło. Pełen lęku, napięcia i wzruszenia widzę brutalny gest mordercy wskazujący karabinem, nie ręką, na Trinczerów a potem na środek placu, warknięcie mogące oznaczać „twarzą do ziemi”, nie takie wyraźne i głośne, lecz przytłumione, może z odruchu wstydu ze sposobu prowadzenia wojny w Polsce a może z obawy, aby nie wywołać przedwczesnej paniki wśród ofiar.

Lejba poderwał się pierwszy, jakby w nadziei, że ochoczą ofiarą ze swego życia rozmiękczy serca morderców, uratuje rodzinę. Był boso, w starej koszuli i połatanych kałesonach. Tyle tylko pozostawili jemu i reszcie ofiar gniewczyńscy sąsiedzi. Przecież buty i łańchy nie będą już Żydom potrzebne, tłumaczyli sobie. Lejba poprawiał opadające kałesony. Niezawiazane sznurki u nogawek płątały się u nóg. Zrobił krok do przodu, do środka placu i już się pochylił, gdy kolbą karabinu odrzucił go hitlerowski morderca i lufą wskazał na dzieci. Tego okrucieństwa nie da się z niczym porównać.

Do dziś pojąc nie mogę, jak mogło się to stać, że starszy chłopiec bez sprzeciwu zrobił parę kroków, uklęknął, pochylił się, podparł się rączkami i przywarł buzią do udeptanego podwórka w miejscu, gdzie wskazywał wylot lufy karabinu. Spokojnie, jakby przystępował do pierwszej komunii

Padł strzał od stojących nieco z boku, po lewej od chłopca strony, umundurowanych, mówiących po rosyjsku a może ukraińsku żandarmów. Wstrząsnęła się główka dziecka jakby chciało gwałtownie czemuś zaprzeczyć i zabarwiły się jasne włosy czerwoną plamą. Skamieniałe, zmienione agonialnym przerażeniem twarze matki i ojca, szeroko otwarte, znieruchomiałe oczy wpatrzone w swoje dziecko... Rozpacz odebrała im jasność umysłu, a lęk tak ich sparaliżował, że nie wiedzieli co się z nimi dzieje. Nie próbowali ratować dzieci. Nigdy nie widziałem bardziej przestraszonych, spopielałych twarzy, jakby krew z nich uciekła...

Po strzale śmiertelna cisza, jakby jakieś straszne łapy potwora ścisnęły za gardła i odebrały rodzicom i dzieciom jęk rozpacz. Ani krzyku, ani wołania o pomoc. Skamieniali w tej najważniejszej i najstraszniejszej chwili! Nawet mordercom odebrało mowę, bo tylko lufą karabinu wskazywali kolejne dziecko Trinczerów i miejsce na ziemi.

Teraz młodszy brat idzie za ruchem lufy karabinu. Kładzie się buzią do piachu, obok brata. Jeszcze dobrze rączek nie ułożył przy buzi, gdy gruchnął strzał – śpieszyło się mordercom. Czy wyobrażacie sobie własne dziecko, wasze dzieci, mordowane w waszej obecności, na waszych oczach? Czy jesteście zdolni postawić się na ich miejscu?

I po raz trzeci lufa karabin wskazuje najmłodsze dziecko, jasnowłosą z niebieskimi oczętami dziewczynkę i potem miejsce na ziemi. To właśnie ją, to maleństwo, zamierzało wziąć za swoją córkę bezdzietne katolickie małżeństwo mieszkające naprzeciw domu Trinczerów; problem w tym, że bezdzietny należał do mafii. Nie wiadomo, ze strachu, nakazu, czy na złość żonie, oddał dziecko uwięzionym, czekającym na śmierć rodzicom. A może po dobrej woli, bo po morderstwie narzekał u znajomych, że jednemu z Żydów musiał pięć litrów wody wlewać do żołądka, zanim ten przyznał się do ukrytych rzeczy.

Niemcy lubią porządek, dzieci mają się nawet przed śmiercią równo układać jak rzeczy przed snem, tu – przed wiecznym snem. Grzmot wystrzału! Wstrząśnięcie główką i czerwień na jasnych włosach.

I nagle jej braciszek przed nią, jakby obudzony grzmotem strzału do siostry, uniósł główkę i zdążył jeszcze podeprzeć się rączkami, gdy gruchnął w niego drugi, celniejszy strzał. Główka aż podskoczyła, oderwało się pół czaszki i trysnęło białą czerwoną posoką mózgu i krwi na oczach rodziców dla których każda kropla krwi dziecka jest błogosławiona, życie dziecka święte, jego wartość nieskończona.

Gdy oderwało się pół czaszki młodszego chłopca, panika załała mi umysł. Fala współczucia i lęku, rozpacz i bezradności poderwała mnie z ziemi, z pośród pokrzyw, zza węglów przyległej stodołki i uciekałem jak oszalały z uczuciem, że zdradzam ich, moich przyjaciół i siebie samego – pozostawiłem Ich sam na sam z umieraniem, ze świadomością, że tracą bezcenny dar – dzieci, które zdążyli pokochać i swój bezcenny dar istnienia.

Nie wiem czy rodzicom pękło serce zanim położyli się twarzą do ziemi obok stygnących dzieci. Ale to pewne, że niemy krzyk niewinnych ofiar będzie słyszalny przez pokolenia. Nie widziałem śmierci pozostałych piętnastu osób, pośród których były także dzieci Szangli, córki Lejzora, która wcześniej podjęła próbę ucieczki. Kiedy uciekałem od tamtego strasznego miejsca, to biegnąc do domu, w kierunku szkoły, spotkałem kilka osób wracających z Przeworska, z jarmarku a wśród nich szkolnego kolegę Józka Rachfała. Właśnie przystanął oglądając, z bolesnym grymasem, otartą butem i krwawiącą piętę (nie miał skarpetek na stopach). Widok krwi na pięcie jego nogi wywołał we mnie nagły odruch lęku, jakby dopiero teraz chciało coś we mnie wybuchnąć płaczem za tamtymi dziećmi. Tamta niewinnie przelana krew pozostaje symbolem barbarzyństwa, dlatego cały świat musi się dowiedzieć o każdym zabójstwie dziecka na oczach rodziców, o każdym zabójstwie dziecka w imię i na rachunek obłąkańczej ideologii.

Janek Z., wówczas 10 latek, powiedział mi teraz, że widział kilku dorosłych Żydów rozstrzeliwanych tuż po wyprowadzeniu ich za próg, na zewnątrz domu. Walenty Miara chwycił rozstrzeliwanych Żydów za nogi i ciągnął je sprzed frontu w kierunku dołu. Po tej akcji mordów zauważył, podobnie jak inni, że ziemia rusza się nad rozstrzelanymi dziećmi, ich matkami i ojcami.

Długo potem, wieczorami, przy bladym świetle lamp naftowych, ze zgrozą szeptano we wsi o tym, jak to jest obudzić się w grobie... Pozornie uważano się nad profanacją żydowskich zwłok, ale w sercu – nad sobą, gdyby to się im miało zdarzyć.

Nawet najbardziej okrutni mordercy mają opory przed uśmiercaniem dzieci – u miejscowych chłopów i nazistów zostało to z góry zaakceptowane. Tak dalece zaślepiła ich żądza gwałtu i rabunku, że nie byli zdolni do współczucia, do bezinteresownej troski o los innych ludzi i do świadomej zgody na różnice między ludźmi. Pozostały w nich tylko pierwotne, barbarzyńskie reakcje.

Dzieci Trinczerów nie doczekały następnego poranka, nie wypełniły czasu danego im przez Boga, bo nie było Go przy nich w czas męki i umierania. Otaczało ich tylko piekło miejscowych gwałcicieli i rabusiów oraz po niemiecku i rosyjsku czy ukraińsku mówiących morderców. Męczeńska śmierć tych nieszczęsnych ofiar w obejściu żydowskiej chaty, gdzie katolicka młodzież miała ulubiony zwyczaj wieszania na drzewie naturalnej wielkości kukłę Judasza tuż przed oknami rodziny Trinczerów, była absurdalna, ani zawiniona, ani nikogo nie zbawiająca a tak okrutna, a zwłoki ofiar tak sprofanowane, że się to nie mieści się w ludzkim umyśle, ni sercu. Niema dla tej zbrodni na dzieciach odpowiednio wysokiej kary nawet w najniższym kręgu piekła Dantego.

Ich męka była bardziej okrutna od ukrzyżowania przedstawionego w „Pasji” przez nawiedzonego aktora, reżysera i miliardera Billa Gatesa. Ale te dzieci, ich matki i ojcowie nie dostają, jak Jezus, szczęścia zmartwychwstania, nikt nie zadba nawet o ochronę majestatu ich śmierci. Piaskiem sypnął Walenty Miara, grzesznik bez winy, na wytrzeszczone ze skrajnego przerażenia oczy i otwarte buzie dzieci, na skamieniałe w grozie twarze matek i ojców. Oto jak żydowscy sąsiedzi i współobywatele w Gniewczynie, którzy mieli twarze, imiona, nazwiska i adresy, zostali wydani na śmierć przez katolickich sąsiadów i jak zginęli śmiercią zwierząt! A prawo do grobu z własnym imieniem i nazwiskiem to ostatnie z podstawowych praw człowieka! W rocznicę ich śmierci nikt kamyka czy kwiatów nie położy, światła, symbolu współczucia nie zapali, bo niema ich grobów, bo ziemię butami dokładnie udeptano, bo Niemcy nie chcieli pozostawiać śladów zbrodni na Żydach z obawy przed karą w przypadku przegranej wojny a miejscowi kolaboranci z obawy przed budzeniem sumienia dobrych ludzi we wsi.

Jedni i drudzy, germańscy najeźdźcy oraz rosyjscy czy ukraińscy i miejscowi kolaboranci, których narody były skłócone prawie od tysiąca lat, stali się nagle współnikami w „wojnie” z bezbronnymi, żydowskimi dziećmi. Połączyło ich „braterstwo” przemocy i zbrodni, hitlerowski nazizm i nasze, religijne i rasistowskie uprzedzenia. W gruncie rzeczy to miejscowi zlecili Niemcom morderstwo gniewczynskich Żydów, aby usunąć świadków gwałtów na kobietach, torturach na mężczyznach oraz zagarnąć ich domy, sprzęty gospodarstwa domowego, pierzyny, poduszki, ubrania, buty, rzeczy osobiste...

Poczucie winy każe nam pomijać żydowskie cierpienie, więc wszystko jest tak, jakby te nieszczęsne rodziny nie należały do rodzaju ludzkiego, jakby nie miały twarzy, imienia, nazwiska i adresu, jakby nigdy nie żyły tu, pośród nas, jakby nie wrosły w glebę Międzyrzecza Mleczki i Wisłoka, w piaski i lasy sosnowe, jakby nie chciały tu budować swego losu, jakby nie nabyły prawa do tej ziemi przez pot, krew i prochy dziadów, matek i ojców, przez wkład w naukę i kulturę polską, handel i rzemiosło, którego myśmy nie umieli, bo dziś nikt ich nie wspomina, nie opłakuje krom mnie samego, strażnika ich pamięci, jakby powiedzieli miejscowi – żydowskiego pacholka.

Opłakujemy w kościele, w czas *Drogi krzyżowej* śmierć Żyda, Jezusa z Judei sprzed dwu tysięcy lat, odmawiamy modlitwę *Pod Twoją obronę uciekamy się święta boża Rodzicielko* do Żydówki Marii a nie opłakujemy śmierci niewinnych i bezbronych żydowskich dzieci, ich matek i ojców mordowanych tu i teraz, na naszych oczach przy naszym współudziale, bądź przyzwalającym milczeniu, jakby na tych dzieciach, ich rodzicach i dziadkach ciążyło absurdalne i nikczemne oskarżenie o zbiorową odpowiedzialność za ukrzyżowanie Jezusa przez Rzymian w czasach, o których prostaczkowie nie mają zielonego pojęcia. Jeśli prawdą jest, że miarą wielkości jest ochrona mniejszości, to jakże jesteśmy mali, pozbawieni współczucia nawet dla najbardziej nieszczęśliwych, niewinnych i bezbronych dzieci i ich rodzin. Czy nikt nie widzi, że antysemityzm jest drogą do nikąd, ideową słabością, achillesową piętą i spycha nas na ośłą ławkę w klasie oświeconych i tolerancyjnych państw Europy Zachodniej? Czy elity świeckie tego nie widzą? Widzą, ale mając lękowe myślenie o dogmatach, boją się, że jednobiegunowa wspólnota ich odrzuci.

5. NIENAWIŚĆ PRZED MIŁOŚCIĄ?

Jak dotąd, dobrzy ludzie w Gniewczynie usprawiedliwiają antysemityzm powołując się na ewangeliczny cytat „*Krew Jego na nas i na dzieci nasze*” (Mat,27-25), co miałoby oznaczać, że historyczni Żydzi wzięli na siebie zbiorową i pokoleniową odpowiedzialność za śmierć Jezusa.

Nawet ostatnio, po ponad pół wieku od wojny, jedna z miejscowych kobiet, teraz, jak wszyscy z tamtego pokolenia, schorowana, ale dobra i mądra, Stasia G. moje uwagi o tragedii gniewczyńskich Żydów, skomentowała ze współczuciem: „szkoda ich, ale sami sobie są winni, bo stoi napisane: *Krew Jego na nas [Żydów] i na dzieci nasze*”. Mówiła to w dobrej wierze, lecz złej sprawie...

Zresztą nie tylko we wsi, jak Polska długa i szeroka, cytat *Krew Jego na nas i na dzieci nasze* znają wszyscy, zarówno antysemita jak i dobroduszni prostaczkowie. Przewija się ten cytat u ludzi udzielających wywiadu dla Claude Lanzmanna do dokumentalnego filmu o Holokauście, Shoah. Cytat ten znało także gestapo i SS. Zdarzało się, że przed masową eksterminacją rozkazywali rabinom, przed kamerami, pod groźbą rozstrzelania, wygłaszać samooskarżenia w duchu cytatu św. Mateusza Ewangelisty *Krew Jego na nas i na dzieci nasze*.

W kruchcie Bazyliki Mniejszej w mieście powiatowym Przeworsku stoi naturalnej prawie wielkości rzeźba Chrystusa w drewnie lipowym. W postaci, twarzy i oczach zawarty jest tak wielki ładunek bólu, że nie można oderwać wzroku od cierpiącego Jezusa w kajdanach. Zapomina się wówczas o testamencie Jezusa: *To przykazanie daję wam, abyście się wzajemnie miłowali*, a myśli się tylko o zemście na prześladowcach, wiadomo – Żydach. Ta dominująca w centrum chrześcijańskiego kultu scena jest zaprzeczeniem misji chrześcijaństwa, ponieważ wzbudza (poza świadomością odbiorcy) chęć zemsty za cierpienia Jezusa, podburza do nienawiści na tle rasowym. Tym bardziej, że Żydzi wyglądają „jak Żydzi” a Jezus – jak aryjczyk. W ten sposób nienawiść jak kukułcze jajo jest permanentnie podrzucana do centrum chrześcijańskiego kultu. Czy chodzi tylko o to, że cierpienie zaspokaja potrzebę dramaturgii, że jest bardziej medialne od gestu podania rąk? Oto jest pytanie!

Świeckim wsparciem dla antysemitów całego świata jest fałszywka „Protokołów mędrców Syjonu”, której autorstwo fałszywie przypisuje się Żydom. Fałszywka pochodzi z carskiej Rosji a była inspirowana przez „Ochronę”, tajną policję a sfabrykowana przez stowarzyszenie „Czarnej sotni” reprezentujące najbardziej reakcyjne poglądy w Rosji. Hasłem „Czarnej sotni” było: „bij Żyda, ratuj Rosję”. Fałszywka „Protokołów” została napisana w takim duchu, w jakim antysemita chciałby widzieć naród żydowski. Miała przekonywać ludzi o istnieniu żydowskiego spisku w celu zawładnięcia światem.

Z zaborczej polityki carów tylko fałszywka „Protokołów” przypadła do gustu naszym fundamentalistom i narodowcom, bo spełnia ich mroczne desiderata. „Protokoły” są do nabycia w przykościelnych kioskach.

Nasuwa się refleksja, że jeśli chrześcijaństwo wzięło z judaizmu wszystko co boskie (Jezus), święte (Bogurodzica, Pismo święte) i błogosławione (Błogosławieństwa, Psalmi), to nasi starsi bracia we wierze są dobrzy, bo tylko *dobre drzewo rodzi owoce wyborne. Czyż zbiera się z cierni winogrona albo z ostu figi?* Tymczasem idąc za przesłaniem fałszywki „Protokołów...” można by dojść do wniosku, że skoro Żydzi są wiarołomni, to... No właśnie! Stąd wniosek, że fałszywka „Protokołów...” podmywa – pośrednio – fundamenty chrześcijaństwa.

Zastanówmy się przez chwilę, czy pomawianie małej, kilkunastu milionowej, sierocej społeczności bez ojczyzny, rozproszonej pośród narodów świata, o knucie spisku w celu zawładnięcia miliardami mieszkańców, w tym miliardem chrześcijan, nie jest chorą obsesją węszenia spisku, manią prześladowczą zrodzoną z braku wiary w siebie, z kompleksu pasywności, obsesją popychającą do prześladowań i zbrodni w imię i na rachunek chrześcijaństwa? Czy starożytny, mały, prześladowany i rozproszony naród byłby na tyle

ślepy i głupi, wprost obłąkany, aby snuć plany zawładnięcia światem a jeszcze dokumentować to w jakichś tam protokołach? Ta antysemicka fałszywka opisująca żydowskość jako przestępstwo, żydowskość jaką chcieliby widzieć antysemita, jest obliczona na ludzką naiwność i rasistowskie uprzedzenia.

Po pogromie Żydów w domu Trinczerów, zostały tylko niedobitki z ośmiu rodzin, ci, którzy uciekli do krewnych w sąsiedniej wsi, jak żona Lejzora z najmłodszym synem Herszem, oraz ci, którzy zdołali się chwilowo wymknąć z rąk miejscowej mafii, jak Nuchym, syn Lejzorów, następnie ojciec rodziny Lejba „drugi”, którego nazwiska nie pamiętam, jeszcze mały Abramek z ojcem Fajbą a może to był Srul, nie wiem i na koniec Gołda, jedyna, (nie licząc dwu wychrzczonych córek Majerków: Racheli/Teresy i Rebeki/Bronisławy) osoba uratowana dzięki „pomocy” kilku mężczyzn zainteresowanych jej urodą.

6. LOS NUCHYMA

Z Lejzorami (nie pamiętam, imię to czy nazwisko) to inna historia. Mieszkali z dorosłymi już synami, Chaimem i Nuchymem, z zamężną (za Jarosławianina) córką Szanglą i jej dwójką dzieci oraz z małoletnim synem Herszem na obrzeżu wsi, od strony międzyrzecza Mlecзки i Wisłoka, czyli od strony tzw. kątów. Tragiczny los Szangli i jej dzieci dopełnił się w maju 1942 roku w domu zagłady u Trinczerów. To ona była jedną z dwu zbiorowo gwałconych kobiet i tą, która podjęła próbę ucieczki. Żona Lejzora (imienia nie pamiętam) uciekła z małoletnim Herszem do rodziny siostry, Kopelów, których ukrywał za pieniądze mieszkaniem sąsiedniej, oddalonej od głównych traktów wsi Chodaczów.

Po ukazaniu się w Znak (4/2008) relacji o Trinczerach, wyszła na jaw tragedia żydowskich rodzin w dwu małych, położonych na uboczu dróg wsi, w sąsiednim Chodaczowie i niedalekim, na Sanem, Leżachowie.

Pochodzący z Chodaczowa, mój przyjaciel G. opowiedział mi, że mieszkali tam trzy żydowskie rodziny Mordków, Szłomów i ukrywających się u katolickiej rodziny Kopelów.

Mordko uratował się uciekając za San. Ich nieletni syn Szmulek Mordko wybrał się jak zwykle do sąsiedniej Wólki Małkowej do zaprzyjaźnionego domu. Ktoś na niego doniósł i zatrzymała go, stacjonująca przy moście kolejowym nad Wisłokiem, niemiecka policja. Na ratunek przybiegła matka chłopca wraz z nieletnią córką Ryfką i błagała na kolanach o litość. Oprawcy wyprowadzili całą trójkę do pobliskich dolów, zmusili matkę do kopania grobu i zastrzelili.

Ta sama placówka policji niemieckiej rozstrzelała rodzinę **Szłomów**, z wyjątkiem samego Szłomy, którego, jako zdolnego do ciężkiej pracy, zawieziono do obozu pracy przy ówczesnym Werk Stalowa Wola, gdzie we wrześniu 1942 zwieziono do wyniszczającej pracy w Hucie 1160 Żydów. Blisko tysiąc poniosło śmierć z wycieńczenia. Szłoma wskutek straty rodziny, ciężkiej pracy, głodu i bicia załamał się. Popelnił samobójstwo skacząc do ogromnej kadzi z roztopioną stalą. Jednym z uratowanych był Henryk Vogler, krakowski Żyd, który po wojnie był znanym pisarzem. W 1996 jego syn, Pavel Vogler z Los Angeles kręcił o tym w Stalowej Woli sceny do filmu „Three Stories”.

Pochodząca z Chodaczowa pani J. otwarła się przed rodziną dopiero teraz, po 67 latach, z dawno zapomnianej, ale obciążającej jej matczyną wrażliwość wiedzy o dwu tragicznych zdarzeniach. Pierwsze dotyczy rodziny **Kopelów**, którą ukrywał katolicki mieszkaniem Chodaczowa w swoim gospodarstwie. Gdy Żydom brakło pieniędzy, bez skrupułów doniósł niemieckiej policji. Przyjechali i podali gospodarzowi pistolet z poleceniem zastrzelenia ojca-Żyda, a potem zabili jego samego i rodzinę Kopela wraz z

przybyłą z Gniewczyny siostrą Kopelowej, żoną Lejzora z małoletnim synem Herszem (patrz str. 25).

Drugie tragiczne zdarzenie w Chodaczowie dotyczy żydowskiej dziewczyny, która ukrywała się we wsi. Miała często spotykane imię Ryfka. Gdy na wiosnę 1942 roku była we widocznej ciąży, nikt nie chciał jej już pomóc. Może ta ciąża była ceną za przeżycie do tego czasu? Nawet nazwisko nieszczęsnej żydowskiej dziewczyny nie może się jeszcze przebić przez uprzedzenia co do Żydów, podobnie jak tożsamość ojca dziecka – z obawy co do sąsiadów. Ukrywała się w dojrzewającym zbożu, blisko sadów, gdzie mogła wczesnym świtem znaleźć czereśnie, wiśnie, maliny, jabłka, marchewkę i młodą cebulę czy nawet podejść do znanej zagrody, gdzie litościwe gospodynie, matki dzieciom, mogły jej pozostawić w umówionym miejscu kromkę chleba, kubek mleka a w ostateczności mogła znaleźć resztki gotowanych ziemniaków lub suche skórki chleba pozostawione dla domowego drobiu i napić się wody ze studni.

Kiedy koszono zboża, urodziła dziecko. Nikt jej nie pomógł, bo nie miała pieniędzy i miała dziecko. Plotkowali i plotkowali, aż doszło do niemieckiej policji w sąsiedniej Wólce Trynieckiej. Przyjechali furmanką. Znaleźli młodą matkę, roztrząskali na jej oczach noworodka, a ja samą zabrali ze sobą. Nie wiadomo, co się z nią stało.

Pomocnicy Hitlera nie poczuli się do winy, wykonywali tylko hitlerowski rozkaz eksterminacji narodu żydowskiego. Wieś zbyła się poczucia winy za grzech zaniechania, za odmówienie pomocy będącej w potrzebie nieszczęsnej dziewczynie, ojciec dziecka zbył się „wstydu” za romans z dziewczyną „od Żydów”.

Pochodzący z Leżachowa mój przyjaciel Michał K. ujawnił mi tragedie dwu żydowskich rodzin wywiezionych do Bełżca: Katzów i Chaimów.

Katz, właściciel murowanego domu, miał żonę i dwu synów. Była wiosna 42 roku, jeszcze się nie ukrywali. Przyjechała niemiecka policja i zabrała ich do obozu w Bełżcu. Jednak Katzowi udało się uciec z transportu. Wrócił do wsi i ukrywał się. W nocy w stodole u pewnej gospodyni a w dzień – w piwnicach pozostałych po zburzonych domach nad brzegiem Sanu. Nieostrożnie wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza i wtedy zobaczyli go chłopcy pasący w pobliżu krowy. Rozpowiedzieli w domu, a chłopci donieśli Niemcom w pobliskiej Sieniawie. Za chwilę przyjechali Żandarmi, zastrzelili...

Chaimowie byli bardzo biedni, mieszkali w małym, drewnianym domu. Utrzymywali się ze sprzedaży drobnego pieczywa. Wraz z dwoma córkami zostali wywiezieni do obozu zagłady w Bełżcu.

Nikt z leżachowskich Żydów się nie uratował, aby móc opowiedzieć o tragicznym losie tych dwu rodzin w małej (170 mieszkańców) i biednej, katolicko-prawosławnej wsi Leżachów. Donosicielom pozostały domy, sprzęty, pierzyny, poduszki i zabawki po dzieciach...

Powróćmy do historii rodziny Lejzora, z której chwilowo uratował się tylko Nuchym, jeden z dwu braci, którzy przed wojną odbyli obowiązkową służbę w wojsku polskim. Wciąż zmieniał miejsce ukrycia. Jakież życzliwe istoty musiały mu pomagać, skoro uchwalił się najdłużej, do jesieni 1942, lub nawet do wiosny a może lata 1943 roku. Miejscowi nadal „macali” miejsca, gdzie aktualnie mógłby się ukrywać.

Gdy zamordowano mu całą rodzinę, gdy został sam, nie wytrzymał długo, załamał się ... Wyszedł na drogę lekko ubrany z odkrytą głową, wysoki, przystojny o ciemnej cerze młody człowiek. Wyraźnie wychudzony. Nie rozglądał się, szedł powoli, z godnością, jakby podjął już ważną dla siebie decyzję.

Właśnie zagrał z Wszechmogącym w kości, o życie: niech go ktoś uratuje albo zabije, bo dłużej nie zniesie tego nieludzkiego świata. Wyruszył z okolicy Hyczuwek i szedł w kierunku domu Trinczerów, gdzie zginęli niedawno także jego bliscy. Przegrał zakład z Wszechmogącym! Gdy dochodził do „domu umarłych”, wyszedł z sąsiedniego domu na drogę jeden z mafijnej spółki, W., niemłody już, ale i nie stary, wesołek wsiowy i lekkoduch, hiena. Zwęszył człowieka, który się poddał. Podszedł, wziął go za rękaw, aby zaklepać sobie prawo do niego, do schedy po nim i poszedł z nim w tym samym kierunku, do budynku pobliskiej szkoły, gdzie była komendantura niemieckiej jednostki wojskowej. Minęli wikarówkę, plebanię i skręcili w lewo do szkoły.

Nie wiadomo gdzie zamierzał iść Nuchym, gdy szedł sam, na plebanię po ratunek, czy do szkoły po śmierć. Na ganku szkoły stał żołnierz niemiecki na warcie. Ludzka hiena nie wypuszczając rękawa nieszczęśliwca, powiedziała, wskazując na Nuchyma: „Jude”. Słowo znane ludzkim hienom aż nadto dobrze. Miejscowy kolaborant został odprawiony z niczym, bo Nuchym nic nie miał przy sobie, z ostatnich już łachów i butów nie wypadało go obdzierać, a Wehrmacht to nie policja, nie miał skażonego alkoholu i tytoniu jako nagrody za taką „przysługę”.

Nuchym był więziony w szkolnej klasie na parterze po prawej, od strony drogi, klasie wtedy pustej, bez ławek i sprzętów. Takich jak ja, małoletnich, żołnierze nie przepędzali z otoczenia szkoły. Czasem nawet rozdawali bochenki czerstwego, razowego chleba z brytfanek. Pewnego razu, ale to było rok wcześniej, gdy szkoła była wypełniona żołnierzami Wehrmachtu w ramach koncentracji przed atakiem na Związek Radziecki, wszedłem z ciekawości na szkolny korytarz i przystanąłem przed otwartymi drzwiami do klasy na parterze po lewej. Na podłodze było około 30 łóżek na bazie materacy, równo w szeregach i rzędach a ściany do wysokości górnej linii okien pokryte było kolorowymi malowidłami roześmianych, półnagich tancerek prawie naturalnej wielkości. Więc i teraz, mimo żołnierza na warcie, podszedłem do okna, wspiałem się jakoś na palce i zobaczyłem Nuchyma. Chodził wyprostowany jak żołnierz tam i z powrotem wzdłuż, przeciwległej do okien, ściany. Dziwne, że nie usiłował się zbliżyć do okna. Mógł je otworzyć nawet w dzień, wyskoczyć i uciec w opłotki.

A on nic, tylko splatał cały czas dłonie jakby chciał je rozgrzać i wymawiał wciąż od nowa jedno i to samo słowo. Musiało to być imię jego ukochanej. Może to była Jentl?... Nie rozglądał się, patrzył przed siebie, raz w jedną, a z nawrotem, w drugą ścianę. Jego postawa, ruch i zapatrzone gdzieś przed siebie wzrok, mówiły, że się już pogodził, nie oczekuje od świata niczego, żadnej pomocy, nawet współczucia. Tylko te nerwowo splatane dłonie obwieszczały, że nie znajduje dla siebie miejsca na tym oszalałym z nienawiści świecie. Bo jest zupełnie sam, bez najbliższych, bez ukochanej, bez wsparcia rodziny i przyjaciół. Widok był tak przejmujący, spokój tak krzyczący rozpaczą, że serce miękło z żalu. Odszedłem z opuszczoną głową, pełen przygnębienia i bezradności. Poza współczuciem nie dorosłem do działania, byłem naiwny i głupi. Wynikało to z mego przeświadczenia, że świat należy do ludzi złych i silnych, którym wolno niszczyć słabych i dobrych, jak żydowskich sąsiadów i obywateli, takich jak Nuchym.

Byłem tak przejęty i przestraszony, że dopiero po oderwaniu się od szkolnego okna usłyszałem z naprzeciwka wrzaski spłoszonych kur, krzyk koguta, monotonne nawoływanie Wojtasowej za dzieckiem, Janka...Janka...Janka, dźwięk kowadła w następnym domu, u dobrego fachowca, dziadka Maksymiliana Korpety, którego syn Antek był moim serdecznym kolegą, usłyszałem ocierania wiadra o beton studni przy wyciąganiu wody u trzeciego sąsiada, pracowitego Piotra Dałomisa. Wcześniej niczego nie dostrzegałem poza sceną w

szkolnej klasie. Teraz wsłuchiwałem się zachłannie w te znajome odgłosy, jakbym chciał zapomnieć o rozpaczach Nuchyma, uciszyć sumienie i przywrócić rytm serca...

Nuchym – myślałem – nie prześpi tej nocy, może już ostatniej w swoim krótkim życiu. Będzie kroczył aż do wieczora i całą noc, setki a może i tysiące razy przemierzy swą ostatnią drogę od ściany do ściany, samotny w pustej sali i samotny pośród ludzi, sparaliżowany lękiem, że odbiorą mu to co zostało mu najdroższe, wspomnienie bliskich. I nie będzie się modlił jak jego przodkowie w chwili śmierci słowami psalmu: *Choćbym nawet szedł ciemną doliną/Zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną*. On już wie, że Go tu niema, że właśnie teraz idzie sam jeden, samotnie, ciemną doliną śmierci i lęka się zła, bo niema nikogo przy nim. Może będzie zbierał – myślałem – kamyczki jasnych, szczęśliwych chwil w swoim krótkim życiu i przywoływał wciąż od nowa najdroższe spośród wszystkich imion, imię ukochanej Jentl, z nadzieją, że to imię ocali ich Świat, kiedy stanie przed mordercą.

Następnego dnia, rano widzę jak z pod szkoły wyjeżdża na rowerze, w kierunku Przeworska, żołnierz niemiecki w hełmie, z karabinem przez plecy a przed nim biegnie Nuchym. Byłem zaskoczony i przejęty takim rozwojem zdarzeń. Schneller, schneller... powtarzał dobrotliwie Niemiec raz po raz. Rosły i gruby blondyn na rowerze popędzał do szybszego biegu wymizerowanego, młodego człowieka. Minęli mnie na wyciągnięcie ręki. Głowa odkryta, twarz szara, oczy nieobecne. Nie spojrzał na mnie, nie szukał współczucia, patrzył przed siebie w niemej rozpaczach, jak wczoraj, gdy był uwięziony w szkole. Biegł rytmicznie, ale z wysiłkiem, zapatrzony w siebie, jakby nie chciał zgubić żadnego z okruszków wspomnień ze świata swoich bliskich.

Mógł uskoczyć nagle w bok, dopaść rogu najbliższej stodoły po drugiej stronie drogi, uciec, zanim Niemiec zszedłby z roweru i zdjął karabin. Nie był tym zainteresowany, już to przemyślał tysiące razy, odkąd nocował poza domem i potem, gdy został sam. Wiedział, że jeśli nie dopadnie go niemiecki żołdak, to dopadną go miejscowi kolaboranci.

Teraz przepuściłem ich przed sobą na bezpieczną odległość i pobiegłem za nimi. Rozpaczliwa sytuacja Nuchyma wzruszała mnie do głębi a obojętność mijanych ludzi, zwykle ciekawskich a nawet wścibskich, była dla mnie nie pojęta. Oto Nuchym stał się dla mnie najbliższym na świecie przyjacielem, jak tamci, inni o których już opowiadałem, podczas gdy nie interesowało to przechodniów, albo, ze strachu, udawali obojętność. Biegnąc za nimi, niepokoiłem się pytaniem, czy Nuchym, zagłodzony, nie wyspany i jakby poza światem, zdoła w takim tempie biec 7 km do Przeworska. Za ostatnimi domami wsi zaczynały się pola. Zatrzymałem się. Przed następną wsią droga okrążała zakole starego, pełnego krzewów i drzew, rzeczyska Mleczy.

Tu Go zastrzelił żołnierz Wehrmachtu, chrześcijanin jak wszyscy Niemcy, zastrzelił niewinnego Polaka religii żydowskiej doprowadzonego na śmierć przez innego Polaka, sąsiada, religii katolickiej. Po Nuchymie nie został nawet kamień, który, gdyby był, głosiłby, co najwyżej, że był ofiarą hitleryzmu...

7. ZABÓJSTWO LEJBY „DRUGIEGO”

Rodzina Lejby „drugiego”, nazwiska nie pamiętam, mieszkała także na pograniczu Trynieckiej i Łańcuckiej części wsi, na tzw. Hyczuwkach. Mieli dwu synów, z których jeden, pamiętam, nazywał się Moniek. Lejba „drugi” był najbardziej pobożny z gniewczyńskich Żydów, bo właśnie w jego domu zbierali się na modlitwy członkowie ośmiu żydowskich

rodzin. Mieszkający w pobliżu, jeden z kilku bosów miejscowej mafii, wytropił Lejbę „drugiego” w prawym kącie ramion Mlecзки i Wisłoka i zastrzelił go z nielegalnej wtedy broni za to, że był Żydem – tuż przy rosnących do dziś dwu a może trzech topolach, które pamiętają tę straszną zbrodnię. Trudno mi ustalić, czy Lejbę „drugiego” zamordowano przed, czy po pogromie jego rodziny w obejściu Trinczerów.

Widocznie morderca nosił się ze świadomością, że zabić Żyda to nie grzech. Teraz obszukał go, zabrał ostatnie pieniądze i rzeczy osobiste, ściągnął buty z cholewami, które sobie wcześniej upodobał, ciało zaciągnął na brzeg Wisłoka i zepchnął do wody. Niech popłynie z wodą. Nie będzie ciała, to i sprawy nie będzie. Niezawiniona śmierć nieszczęśliwego i zaszczutego ojca rodziny obciążyła sumienie mordercy i leży cieniem na dobrych ludziach w gromadzie, którzy kiedyś nie uczynili niczego, aby temu zapobiec, a teraz grzebią pamięć o nim i jego najbliższych, jakby chcieli potwierdzić, że zabić Żyda to nie grzech.

8. HISTORIA ABRAMKA I JEGO OJCA

Oto jak to było z Fajbą i jego małoletnim synem Abramkiem. Mieszkali we wsi naprzeciw młyna Jagielów, a może w kilkurodzinnym drewnianym domu na tzw. Błoniach. Nie wiadomo, co spotkało jego żonę. Fajbę z Abramkiem spotkałem przypadkowo jesienią 1942 roku. Ukrywali się w dolinie dawnego koryta Mlecзки, w obitym deskami jagielniku, przylegającym do ściany stodoły, od zewnętrznej strony gospodarstwa Drzystków, zacnej i majątnej rodziny. Miejsce było zamaskowane sąsiedzkim, dużym sadem Wosiów, z dala nawet od drugorzędnej, piaszczystej drogi biegnącej wzdłuż wsi. Stąd można było w razie potrzeby uciec w dowolną stronę, lub skryć się wśród drzew, krzewów, płotów, czy za węglami stodół i obór.

Ta sama dolina starorzecza, 200 metrów dalej, otaczała półkolem kościół. Można było tą doliną podejść pod sam kościół i plebanię. Plebania przed wojną i za okupacji, za proboszcza, ks. Stanisława Kułaka była zasobna w żywność. Dwa konie, cztery krowy, świń i owiec kilka, indyki, gęsi, kaczki i kury.

Mały Abramek i jego ojciec słyszeli codziennie odgłos sygnaturki wzywającej na poranne msze i wieczorne nieszpory i dzwon w południe. W niedziele i święta słyszeli także śpiewy kościelne, szczególnie podczas procesji. Nie słyszeli tylko czytań z żydowskiej Biblii i żydowskich Ewangelii, ani różańca do Matki Boskiej, nie jakiejś abstrakcyjnej Osoby, ale cudami słynącej Matki Jezusa, Żydówki z krwi i kości, jak sam Abram i jego ojciec.

W ewangelicznym zawołaniu Jezusa: *zostawcie dzieci w spokoju i nie zabraniajcie im przychodzić do mnie, albowiem do nich należy królestwo niebieskie*, nie było wprawdzie mowy o Abramku, ale miłosierny Jezus Chrystus miał na myśli takich jak Abramek, jak troje małych dzieci Szanglii i Lejby Trinczerów i dwójkę tych maleństw Szangli, córki Lejzorów. Całą przestrzeń kościoła i serca wiernych wypełniały dźwięki organów, przez które słowa Jezusa nie zdołały się przebić, więc wierni, pełni świętej naiwności, łączyli nieświadomie miłość do Żyda-Jezusa z pogardą do Żydów w ogóle...

Ale czy można mieć żal do ludzi, kiedy aż do II Soboru Watykańskiego Żyd był uważany przez Kościół za odrzuconego przez Boga, kiedy podczas niemieckiej okupacji ani Pius XII listem papieskim, ani biskupi, ani księża nie zwrócili się z ambony do wiernych słowami: „Jeśli spotkasz Żyda w potrzebie, udziel mu pomocy”. Może nawet wystarczyłoby przykład takiego tylko zachowania, jaki dał pewien literacki proboszcz:

Zdarzyło się raz latem, że chłopaki...zaglądając przez okno do oświetlonej szabasowym światłem izby [Żyda], robili sobie z tej modlitwy śmieszki. W tej chwili wszakże przechodził tamtędy stary proboszcz, a spojrzawszy przelotnie w okno i widząc modlącego się Żyda, który z takim jękiem wołał po swojemu do Boga, uchylił kapelusza. Scena była niema, ale nad

wyraz umowna. Chłopaki zemknęły, jakby ich wiatr zdmuchnął, i nie było odtąd wypadku, aby spokój tej ubogiej izby zamieszany został. („Mendel Gdański” - Maria Konopnicka).

Z kościoła pod wezwaniem świętego Mateusza wierni rozchodzili się do domu na śniadanie, obiad czy kolację a Abramek ze słabo widzącym ojcem czekali wieczornego udoju od jednej chudej krówki u miłosiernej Marii z Kulpów. Wyklęci nędzarze mogli wprawdzie wyjść z nory dla bezpieczeństwa psów, która do dziś stoi, zejść do kościoła otwartego dzień cały, odetchnąć na chwilę poczuciem bezpieczeństwa, bo świątynie wszystkich religii dają azyl nieszczęśliwcom, ale tyle już było procesów w historii Kościoła pod pretekstem znieważenia hostii przez Żydów, że krzyż stał się dla nich zwiastunem nieszczęścia.

Oni, Żydzi wykreowali chrześcijaństwo a teraz chrześcijanie są dla takich jak Abramek i jego ojciec śmiertelnym zagrożeniem. Dla nich resztki ze stołu plebani, psom i kurom rzucane, byłyby szabasową ucztą, ale nie ważyli się iść pod plebanie. Przecież ksiądz od pobożnych niewiast wiedział gdzie Abramek i jego ojciec koczują, ale był z urzędu na los Żydów nieczuły, wierny powtarzanemu od setek lat, bezustannie, jak w transie, wielkopiątkowej modlitwie *pro perfidis Judaeis*, za wiarołomnych Żydów!

Nie wiem, co o tej modlitwie za „wiarołomnych” Żydów myśleć skoro elita religijna powołuje, gdzie tylko się da, Jezusa do mitycznej władzy królewskiej nad światem, państwem czy regionem a Marię na Królową Polski i na patronkę prawie wszystkich kościołów. Czy Jezus i Maria mają służyć jako kij na naród żydowski? Gdyby nie to bezprawne przeciwstawianie Jezusa i Marii żydowskiemu narodowi, to zarówno nieszczęsny Abramek z niedowidzącym ojcem jak i pozostałe żydowskie dzieci z matkami i ojcami miałyby szansę przeżyć hitlerowsą okupację w Gniewczynie.

Z drugiej strony tej doliny stał dom wspomnianej Marii z Kulpów Rachfałowej. Była bezdzietna, o sercu pielęgniarki z powołania. Jeszcze przed wojną wyróżniała się pomocą udzielaną wędrującym żebrakom. Ufali jej także Żydzi. To jej Lejba oddał na przechowanie zimowe odzienie. Później przez ponad rok, może dłużej, przechowywała ich nocami w oborze, bądź w sianie nad oborą i żywiła dwa razy dziennie Abramka i jego ojca kromką chleba i garnuszkiem mleka. Wielkie dzięki dla niej za odważne i miłosierne serce!

Pewnego jesiennego wieczoru przyszedłem po litr mleka z wieczornego udoju. W otwartym domu nikogo. Jest przy dojeniu, pomyślałem. Ciocia Maria otwierała właśnie drzwi do obory a przy niej dwoje jakichś biedaków. Stali nieruchomo, nie patrzyli w oczy. Byli zaszczuci kilkoma miesiącami ukrywania się w zimnych i brudnych zakamarkach gospodarstw. Obie strony były zaskoczone. Ciocia Maria szybko wyjaśniła, że to jest ojciec z synem, ukrywają się. Teraz przyszli na kubek ciepłego mleka z pajdą razowego chleba.

Ojciec niski, drobny, zarośnięty. Chłopiec mały, mizerny. Obaj wychudzeni, ciemnej karnacji, regularne rysy, pociągłe twarze. Wielkie podkrążone oczy tak pokorne i żebrzące jak ich twarze i cała postawa. Szczególnie chłopiec, dziecko jeszcze. Mimo zmroku, z bliska patrząc w świetle przenośnej lampki cioci Marii, zapamiętałem ich twarze. Nigdy ich nie zapomnę. Raz tylko podnieśli wzrok, właściwie powoli podnosili głowy, nieśmiało dotknęli mnie wzrokiem, potem już patrzyli tylko na siebie tymi swoimi, przesmutnymi oczyma. Ojciec słabo widział, może to była choroba a może tylko tzw. „kurza ślepotą” po zmroku, z braku witamin. Ich niema rozpacz wzbudzała bolesne współodczuwanie. Żal nad ich losem wzruszał do głębi serce; rodziła się z nimi, szczególnie z chłopcem, nagła serdeczna więź jak z kimś bardzo bliskim.

W ich oczach była cała tragedia tego narodu i tragedia ich rodzinnego losu. Bo odpowiedzialność za zdrowie i życie dziecka ciąży nieporównywalnie bardziej od troski rodziców o samych siebie. Każda matka i ojciec drżą przed bólem i cierpieniem swego dziecka. Ich świętym prawem jest, aby nie zezwolić na „poniewieranie” swoich dzieci. Ale złoczyńcy nie postawią się w miejscu ojca Abramka. Pojęcie miłości bliźniego, które objawiać się winno udzielaniem pomocy potrzebującym, nie odnosiło się do tych żydowskich nędzarzy. To barbarzyństwo zostało uprawomocnione hitlerowskim prawem, odwiecznym antysemityzmem w nauczaniu Kościoła i milczącym przyzwoleniem dobrych ludzi.

I zaraz weszliśmy do obory. Za drzwiami, w rogu obory, była, wysoka na łokieć, ubita sterta nawozu nakryta warstwą zmierzwionej słomy. Tu miały spać w pozycji półleżącej te dwie bezgranicznie sobie oddane niewinne istoty ojca i dziecka, walczące z nędzą na poziomie bezpańskich psów i w każdej chwili zagrożone denuncjacją przez miejscowych kolaborantów i pewną śmiercią z rąk okupanta. To miejsce miał przysłaniać postawiony pionowo, potężny, mocno związany snop wysokiej pszenicy. Podczas zimy mieli wprost z obory, po drabinie, wejść otworem w suficie na strych i wciągnąć za sobą drabinę. Wcześniej rano znów kubek mleka, chleba kromka i przejście na drugą stronę doliny pod tzw. przydach z jagielnikiem, na łaskę i niełaskę hołoty.

Straciłem ich z oczu na długo. Przetrwali do maja 1943 a może nawet 1944 roku. Może dzięki temu, że ojciec Abrama wskutek nędzy, głodu i stresu wyglądał jak dziadek. Chłopiec był pokorny i przestraszony. Ubrania mieli jak żebracy, żadnych rzeczy osobistych. Nie byli pełną rodziną. Fajba był bez żony, która mogła być pokusą dla miejscowych. Powinni ukończyć tę szkołę męki i przetrwania, aż do wyzwolenia. Niemcy na wschodzie stale się cofali. Te biedoty powinny przetrwać, ale być może obciążało ich posiadanie domu, biednego, ale jednak domu, który mógłby się miejscowym przydać. Przez dwa a może trzy lata, w nędznej budzie, która zaciekała od deszczu, bądź w obślizgłej od wilgoci oborze, oczekiwali, między jednym a drugim uderzeniem serca (tak opisywały ukrywające się, niedoszłe ofiary Zagłady), na kroki niosące zdradę...

Był początek czerwca, trawa na łąkach bujna, jak nigdy. Byłem przy domu wspomnianej, litościwej Marii z Kulpów, kiedy poszedł szum, że Niemcy zabrali z jagielnika, na nizinie dawnego koryta Mleczy, Abramka z ojcem czy, jak mówiono, niewidomym dziadkiem. Natychmiast pobiegłem boczną uliczką, aby z poza płotu mieć wgląd na dolinę. Od nory jagielnika oddalili się już na kilkadziesiąt kroków. Nie szli do najbliższej drogi, lecz kierowali się środkiem łąki w kierunku Przeworska. Dwaj żandarmi w hełmach z karabinami na ramieniu a kilka kroków przed nimi Abramek, po prawej stronie ojca. Szli trzymając się za ręce. Z powodu nierówności i wysokiej trawy idąc, patrzyli pod nogi. Niemcy szli jak na spacer. Rozluźnieni i rozgadani, palili papierosy, jakby nigdy nic, jakby nie mieli złych zamiarów.

Naiwny, nie zadałem sobie pytania dlaczego nie kierują się do najbliższej drogi, tylko idą poza zabudowaniami, łąkami, równolegle do drogi. Ojciec małego Abramka miał powód do paniki. Za pięć minut dojdą do zadrzewionej doliny po pierwotnym, wijącym się meandrami, biegu rzeki. Szedłem za nimi dopóki była szansa skryć się za gruszę, czy nierównością terenu. Zatrzymałem się na skraju odkrytej łąki. Odprowadzałem ich wzrokiem, przekonany, o naiwności, że dobroduszne zachowanie się żandarmów nie wróży najgorszego, najwyżej zabiorą ich gdzieś tam daleko, do jakiegoś getta, myślałem.

Gdy dochodzili do kępy drzew w obniżeniu gruntu, to Abramek nadal trzymał tatę za rękę. Ojciec był chyba świadom, że teraz są na krawędzi i otchłań może się zapaść pod ich stopami... Kiedy serce zamierało mu z przerażenia, może zdążył jeszcze oddać dziecku mocniejszy uścisk dłoni, ostatnie przesłanie miłości, tu na nieludzkiej ziemi, w czas ostateczny. Bo właśnie Niemcy, nie zatrzymując się zdęli karabiny z ramion, wycelowali, kiwnęli do siebie porozumiewawczo głowami w hełmach i strzelili prawie równocześnie w tył głowy Abramka i Jego Taty... mimo, że każde życie jest święte i każda kropla krwi błogosławiona.

To sąsiedzi żydowskim współobywatelom zgotowali ten los. Nawet stu niemieckich policjantów nie potrafiłoby odnaleźć tej kryjówki. Musiał ktoś z miejscowych doprowadzić ich w ten ślepy zakątek wsi i wskazać dokładnie to miejsce. Zostali wydani na pewną śmierć po trzech latach nieludzkiego życia na gnoju, w głodzie, chłódzie i nieustannym lęku, w rozpacz. Tylko miłość ojcowska ratowała ich przed załamaniem się. Wydanie ich na pewną śmierć było udziałem w zbrodni ludobójstwa!

Oby łomot ich serc w chwili, gdy huk wystrzałów roztrzaskał ich Świat, mógł odbić się echem gdzieś od granic Wszechświata i powracać wciąż od nowa, aby w każdym pokoleniu oświecać i kruszyć kamienne serca przewrotnych, podburzających do nienawiści kaznodziejów oraz gwałcicieli, rabusiów i morderców, chętnych egzekutorów „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej w chrześcijańskiej Europie!

Mieszkającemu w pobliżu sołtysowi Niemcy polecili zakopać martwe ciała niewinnego Abramka i Jego dzielnego Ojca, na niepoświęconej ziemi, gdzie wieśniacy zakopują padłe zwierzęta. Sołtysowi ani jego pomocnikom nie przyszło nawet na myśl, aby zgodnie z ludzką tradycją i dobrym, chrześcijańskim obyczajem uszanować majestat Ich śmierci, przenieść później, po cichu, ludzkie przecież zwłoki na miejsce zmarłych i oznaczyć groby. Nie zapomnieli tylko obszukać ich kieszenie i udeptać równo ziemię, aby zatrzeć ślady zbrodni. Nad sprofanowanymi ciałami Abramka i jego ojca nikt nie odmówił modlitwy „Kadisz”:

Niech będzie wywyższone i poświęcone Imię Jego, wielkie w świecie, który sam stworzył według swej woli. Niech ustanowi swe królowanie, niech sprowadzi wyzwolenie...

Niechaj Jego wielkie Imię będzie błogosławione i pochwalone, opiewane i wywyższone Święte Imię Jego; niech będzie błogosławiony we wszystkich błogosławieństwach i pieśniach pochwalnych, hymnach i dziękczynieniach zanoszonych na tym świecie. Amen...

9. DRAMAT GOŁDY

Pozostała jeszcze rodzina Semków, której los należałoby utrwalić przynajmniej na kartce papieru, jeśli nie w kamieniu. Byli spokrewnieni z rodziną Lejzorów. Mieszkali na tzw. Hyczówkach, obok domu Marii i Mateusza Dałomisów, u których znajdowali wsparcie. Semkowie mieli dwu synów, których imion nie znam i dwie córki. Jedna z nich, Gołda, była wyjątkowo piękna. Kochał się w niej niedaleki sąsiad, Jan Ryfa, starszy kawaler, postać pozytywna.. Ukrył ją zanim ruszyło polowanie z nagonką w maju 1942 roku. Zgodziła się na to, bo traktował ją z szacunkiem. Semkowie zginęli najprawdopodobniej wszyscy, wraz z synami i córką podczas zgłady w domu Trinczerów.

Natomiast między Gołdą a Janem narastał kryzys, którego podłoża można się co najwyżej domyślać. Może miejscowi podejrzewali Jana i grozili mu denuncjacją, jeśli nie wyda im miejsca ukrycia Gołdy. Groziło jej niebezpieczeństwo. Zaszła konieczność zmiany miejsca jej ukrywania. Jan zdał jednak egzamin ze swoich uczuć do Gołdy. Pewien korzystny zbieg okoliczności dał Gołdzie szansę na przeżycie. Otóż córka jednego z niedalekich

sąsiadów, Marcina Kozaka, Agnieszka, została wyznaczona przez sołtysa i zatwierdzona przez okupanta na wyjazd do przymusowej pracy do Niemiec. Rodzina usiłowała uchronić córkę przed wywózką. Jan zaproponował im, w tajemnicy, pewien układ: pojedzie Gołda za ich córkę, jeśli załatwi jej fałszywe dokumenty.

A te mogła wyprodukować tylko sekcja AK w gminie Tryńcza, gdzie mieli niezwykle zdolnego drukarza (był niepełnosprawny) i formularze dokumentów od podziemnej władzy zwierzchniej. Aby móc tam dojść, potrzebne było czyjeś pośrednictwo. Sołtys Trynieckiej i jego pomocnik zgodzili się pośredniczyć, ale Kozakowie nie byli na tyle zasobni, aby zmotywować pośredników i sekcję w Tryńczy do udzielenia pomocy. Jednak, gdy zobaczono Gołdę, opór został pokonany. Obiecano wykonać zdjęcie do kenkarty i samą kenkartę pod pewnymi warunkami. Wiadomymi... Podobne warunki postawił sołtys i współnik. Zarówno Gołda jak i zakochany Jan nie mieli już odwrotu. Jeśli nie wyrażą zgody, mogą być przez któregoś z wtajemniczonych wydani z zemsty za zawiedzione nadzieje. Stało się...i Gołdę zabrano na roboty przymusowe do Niemiec. Aż do wyjazdu była „chroniona” przez gminną komórkę AK.

10. TAJNE NAUCZANIE

Rok później, we wrześniu 1943 roku, pani Ludmiła Richter zorganizowała w Gniewczynie tajne nauczanie w zakresie pierwszej gimnazjalnej dla dziewięcioro uczennic i uczniów (Maria Ziomek, Stanisława Skiba, Janina Rachfałowska, Katarzyna Lasek, Emilia Konieczny, Stanisław Chmura, Edward Sołek, Jan Kulpa i Tadeusz Markiel). Nowe przedmioty, łacina, historia starożytności wносиły dumę z bycia gimnazjalistą. Ryzyko denuncjacji było wprawdzie duże, ale nauczanie łaciny na wikarówce przez księdza Stanisława Zuba należącego do AK, minimalizowało niebezpieczeństwo donosu przez miejscowych. Co raz zmienialiśmy miejsca nauki po domach i po nauce wychodziliśmy pojedynczo.

Dochodziło też do dramatycznej sytuacji. W późny, październikowy wieczór siedzieliśmy nad zeszytami z panią Richter przy lampie naftowej w jednym z domów. Na zewnątrz nieprzenikniona ciemność. Nagle natarczywe stukanie w drzwi od strony podwórka. Zbyt głośne i natarczywe jak na sąsiadów czy znajomych. Nieruchomiejemy. Po chwili gospodyni wyjaśnia, że we wsi, koło młyna są żandarmi i mogą szukać jakichś ludzi we wsi. Popłoch. Nie wiemy, czy się rozejść, czy lepiej przeczekać. Nie wiemy gdzie można by schować zeszyty, książki. Grupa rozdziela się na dwa pokoje, ktoś znajduje karty do gry. Myślimy naiwnie, że to zmyli Niemców.

Siedzimy zastraszeni, upływa kwadrans, może więcej i nagle łomot do drzwi. Jesteśmy pewni, że to Niemcy. Ktoś zgasił lampę, więc biegamy bezradnie w ciemności do drzwi – nasłuchując, to do okien – wypatrując. Wystraszony, nie wiem co inni robią. I decyzja: przez okno do ogrodu. Macam po ciemku haczyki, ten od góry i dołu okna, jeszcze pokręta. Zardzewiałe – nie ustępują. Wreszcie, wypycham kwatery okna i wysuwam głowę na zewnątrz. Ciemność. Gramolę się przez okno nie zauważając dwu wazonów z kwiatami na parapecie. Gdy usiłuję przełożyć nogę na zewnątrz, jeden wazon spada za okno, drugi, strącony ręką, wali się i rozbija z hukiem na podłodze. Uciekam na oślep ku drodze do domu.

Później się okaże, że nowy uczeń, krewny leśniczego, pierwszy raz na lekcji, uciekając wpadł w ciemności do gnojówki na podwórku. Skończyło się na strachu. Okazało się, że to pacholek od sołtysa biegł w pośpiechu po wsi za podwodami konnymi na dzień następny dla Niemców, którzy mieli zabierać mąkę z młyna. Strach miał wielkie oczy.

W czerwcu 1944 wielkie przeżycie: egzamin na plebani. Profesorowie i ksiądz prefekt z Przeworska. Trudno uwierzyć, że to działo się podczas okupacji, kiedy za tajne nauczanie

groził Oświęcim. Byliśmy odważni, bo nie zdawaliśmy sobie sprawy z zagrożenia. Nam się udało, tylko nie tym pośród nas, którzy mieli nieszczęście urodzić się Żydami.

11. WYZWOLENIE

W lipcu 1944 zbliżał się front ze wschodu. Na Berlin! Czekamy zaszłuchani. Oby tylko się nie znaleźć w strefie ostrzału. Zaczyna się. Dwie ciężarówki z wystraszonymi żołnierzami w mundurach feld-grau pędzą piaszczystą drogą w tumanach kurzu przez wieś ku Przeworsku. Przy końcu wsi ostatnia hamuje gwałtownie. Zobaczyli przed frontem domu Dałomisów, po prawej, niską jabłoń obwieszoną płowymi, dojrzałymi papierówkami. Ten, obok kierowcy, wyskakuje, odczepia od burty wiadro, dopada jabłoni. Rwie w pośpiechu, potem do kieszeni, ponaglają go, wraca pośpiesznie, wpycha jabłko do ust, wsiada z wiadrem i ruszają jakby ich kto gonił.

Wieczorem od wschodu syczące, przeciągłe gwizdy przenoszą się ponad wsią ku zachodowi. To nie komety z baśni, to rakiety rozjaśniają zmrok. Ktoś dorosły mówi: „Katusze”! Po kwadransie cisza. Na drugi dzień, rano, uciekamy do Porąb, grupy domów odległej o 3 km od centrum wsi. Teraz słychać pojedyncze, jakby zabłąkane pociski armatnie. Jeden uderza w lewy brzeg Mlecзки na linii Piasków i zabija dwoje szczęśliwych, trzymających się za ręce młodożeńców, uciekinierów zza Buga, mieszkających u rodziny Czarny (?). Inny trafia w podwórko domu Buczków i zabija trójkę dzieci. Znałem ich ze szkoły, to straszne, współczuję im i rodzicom. Znów cisza. Zbliża się południe, siedzę z bliskimi w cieniu rozłożystej lipy. Upał, rozgrzane powietrze i nastrój niecierpliwego oczekiwania. Niech się wreszcie coś dzieje.

I nagle z najmniej oczekiwanej strony, od zalewu Wisłoka, zbliżają się do nas dwaj żołnierze. Średniego wzrostu, młodzi zwiadowcy. Przysłaniają od słońca oczy, uśmiechają się, machają do nas radośnie jakby uprzedzając, że są przyjaciółmi. Automaty przewieszone na ramieniu, lufami do przodu, uśmiechnięci, opadające na czoło włosy, spoceni, ogorzali od słońca, czerwoni od upału. Są już przy nas, „Germańców niet?” – pytają. „Niet, niet” – odpowiadamy. „Zakurić imiejetie?” Niema z nami chłopów, ale już któraś z kobiet rozlewa schłodzone w studni, we wiadrze, kwaśne mleko, podtyka pod dłonie. Wypijają duszkiem, „spasiba, spasiba” – powtarzają... Pełni wdzięczności, patrzymy na nich z podziwem. Zazdroszczę im automatów – lufy z perforowanymi osłonami, ogromne dyski na amunicję.

Teraz czuję się bezpieczny i wdzięczny słowiańskim braciom ze wschodu. Kilka dni później, po popołudniu, wjeżdża do wsi od strony Przeworska, kolumna samochodów ciężarowych z radzieckimi żołnierzami. Niekończąca się kolumna, jadą i jadą, setki samochodów. Zmotoryzowana dywizja piechoty, może 10 tysięcy ludzi – na kilkudniowy postój, trwa jeszcze wojna. Tu nastrój wesoły i przyjazny z obu stron, u małych, jak ja, wprost radosny, oszałamiająca przygoda, tyle różnych rodzajów broni, samochodów, wieczorami ogniska, harmoszki, czastuszki i kozackie tańce.

W naszej kuchni i na podwórku uwija się 5 młodych, wesołych bojów, trzech obiera ziemniaki, czwarty pali pod kuchnią, piąty nalewa z amerykańskich, pięciolitrowych puszek olej do ogromnego, na całą płytę kuchenną, emaliowanego garnka. Na koniec wiadro przygotowanych frytek do gorącego oleju. Trzech dalej przy ziemniakach. Gorące frytki wynoszą, biegiem, do sąsiedniej szkoły, dla naczalstwa, dowództwa dywizji. Po całym obejściu rozlatczał się zniewalający zapach smażonych w oleju frytek, czego myśmy dotąd nie znali. Od tamtego czasu bardzo lubię zapach i smak frytek. Późnym wieczorem wchodzi do izby młody lejtnant i uśmiechając się podaje mamie górę frytek w misce. Pyta czy

rozumiemy po rusku i wtedy ja, jak przyglup, bez namysłu popisuję się ruskim przekleństwem, używanym wśród chłopów, szczególnie przy bimbrze. „Ej, ty malczik – tu podniósł głos i pogroził mi palcem – tak nie nada, eto nie kulturno! Okropnie się zawstydyłem...

Tydzień, może dwa po ich odjeździe, przyjechała do budynku szkoły grupa polskich wojskowych, major, porucznik i kilku żołnierzy. Może chcieli zorganizować kwatery dla wojska. Znudzeni oficerowie rozglądali się po otoczeniu a zobaczywszy mnie w gimnazjalnej czapce, zagadnęli o samogon. Zaprowadziłem ich do Korpetów, naprzeciw szkoły. Pod ławą stała bateria butelek z samogonem. Uśmiechnęli się, usiedli. Weroncia przyniosła chleb, kawałek słoniny, cebulę i sól. Zaproсили mnie do towarzystwa. Opowiadali o zabitych i rannych kolegach, o tęsknocie za rodziną, za domem za rodzinną stroną, ale szczegółów nie zapamiętałem, bo na początku byłem zbyt przejęty a później zbyt pijany. Kręciło się mi w głowie z samogonu i szczęścia, że oto jestem po raz pierwszy w tak doborowym towarzystwie. Zdołałem jeszcze dojść do domu, wyjść po drabinie na strych, na siano. Torsje męczyły mnie całą noc i dzień.

12. GIMNAZJUM W PRZEWORSKU

*Książka radości daje tyle,
W wielki nieznany świat wprowadza.
Gdy ktoś nad książką się pochyli...
Cisza!
Nie trzeba mu przeszkadzać.*

Wiera Badeńska

Pierwszego września 1944 roku spełnia się marzenie mojego pokolenia: szansa na bezpłatną naukę w szkole średniej, co przed wojną było nie do pomyślenia. W tęsknocie za miastem, przepięknym Przeworskiem, była jakaś magia, która miała pokonać kompleksy beznadziejnej a nawet mrocznej egzystencji życia na wsi i wymazać ze świadomości lęki okupacji. O Boże, co za dar losu, oto jestem w drugiej gimnazjalnej, mam już bilet szczęścia w kieszeni, barwny świat książek i wzniosłych ideałów. Czułem – pełen dumy – że spełnia się czas, spełniają się marzenia... Towarzyszyło mi, zdumionemu i nieco wystraszonemu chłopakowi ze wsi, poczucie, że świat jest teraz piękny sam w sobie, więc tętniło we mnie dumnym wierszem Władysława Broniewskiego:

*Ludowa Polsko / Piękna, nowa / Nad tobą szumi pieśń / Majowa, socjalistyczna / pieśń
radosna, / Tak jak wiosna, / Jak czerwień wspólna, / Jak sztandary, śpiewa ją / Moskwa,
śpiewa Paryż, / Śpiewać ją będzie/Kula ziemską / W ten dzień majowy, / Dzień zwycięstwa.*

I „Oda do radości” Fryderyka Schillera w przekładzie Ildefonsa Gałczyńskiego:
*O Radości, iskro bogów, / Kwiecie Elizejskich Pól / Święta na twym świętym progu / Staje
nasz natchniony chór. / Jasność twoja wszystko zaćmi / Złączy co rozdzielił los / Wszyscy
ludzie będą braćmi / Tam gdzie twój przemówi głos. [...] Patrz, patrz: wielkie słońce światem
/ Biegnie sypiąc złote skry, / Jak zwycięzca, jak bohater - / Biegnij, bracie, tak i ty. / Radość
błyska z piersi ziemi, / Radość pije cały świat. / Dziś wchodzimy, wступujemy / Na Radości
złoty ślad. / [...] Wstańcie ludzie, wstańcie wszędzie, / Ja nowinę niosę wam: / Na
gwiazdzistym firmamencie / Miłość, miłość mieszka tam!*

Budzę się przed świtem, nie mogę doczekać poranka. Tylko siedem kilometrów do Przeworska! Zdażam, jakby w uniesieniu, kamienistą, rozjeżdżoną wojskowymi pojazdami szosą, wzdłuż nabrzeża Mlecзки. Nogi same niosą. Już Cukrownia. Zagubione wonie

cukrowych buraków. Miasto. Ruchliwym traktem Wschód – Zachód raz po raz pędzą gorączkowo, w obie strony, radzieckie ciężarówki z wojskiem i sprzętem. Trwa na zachodzie wojna.

Gimnazjalną w dół i oto po prawej klasztor opasany murem jak historyczna twierdza, dziedziniec w zieleni i kwiatach, gotyckie mury rozjaśnione słońcem. Pełen ufności i zaciekawienia, nieśmiało uchylam ciężkie, zdobne okucia drzwi. Dech mi zapiera z podziwu. Zastygam w rozmodlonej ciszy. Mięknie mi serce, przepełnia mnie radość. Wrócę tu jeszcze nie raz a tysiąc razy. I śpieszę do mojego Gimnazjum.

Oszołomiony jestem podniosłym nastrojem chwili pośród półkola głów przed frontem naszych profesorów. Wyróżnia się grupa pięciu harcerzy, jeden z bandażem na głowie, inny z ręką na temblaku. „Powstańcy z Warszawy” – ktoś komentuje. Przemawia dyrektor, Jan Ćwierz, przedstawia profesorów, Hajdę, Jaworskiego, Świerczyńskiego, Zająca, Ostrowską, Matuszkową, Ćwierzową, Bawankiewicz... nie sposób zapamiętać; mówi o organizacji nauki, o planach na przyszłość. Potem młoda, drobna brunetka, pani Matuszkowa przemawia do naszych serc i dusz. Zaczyna cytatem: *Młodości! Ty nad poziomy / Wylatuj, a okiem słońca / Ludzkości cale ogromy / Przeniknij z końca do końca.*

Ogarnia nas wzruszenie. Wpatrzeni w jej uśmiechniętą, uroczą twarz, łowimy słowa o naszej szkole jako świętym przybytku wiedzy utkanej ze światła i marzeń, o nas, uczniach, jak o nadziei na przyszłość, i o tym jeszcze, że korzenie drzewa wiedzy są gorzkie, ale owoce – słodkie. Jakże inna ta mowa od prostackich dowcipów w karczmie, jeżących włos opowiadań starszych o czających się za rogiem w ciemności latawicach i rogatych diabłach. U tej urodziwej i złotoustej profesorki co dziesiąte zdanie ozdobione cytatem z literatury pięknej, o której nie mieliśmy dotąd pojęcia. Wyrażając żal, że jest zbyt mało podręczników, przypomina słowa Kornela Makuszyńskiego: *„Książka puste życie napelnia światłem a serce wzruszeniem, miłości dodaje skrzydeł a trudowi ujmuje ciężaru”*.

Poznaliśmy wychowawcę, biologa, pana Świerczyńskiego; wskazał naszą klasę, II B na parterze lewego skrzydła budynku. Dziewczęta i chłopcy w podnieceniu zaklepują sobie miejsca, gdzie z kim, w trzech kolumnach ławek. Rozglądam się onieśmielony, bo każdy jest szybszy ode mnie. Przysiadam na przypadkowym, wolnym miejscu. Poznaje pierwszego z kolegów, którego wszędzie było pełno – Staś Brewczyński. Wymienia nazwiska profesorów jak dobrych znajomych. Podchodzę nieśmiało, „jesteś z Przeworska?” – pytam. „Nie z Siennowa”. „Skąd znasz profesorów?” „Znam Przeworsk z czasów okupacji; aby przeżyć, handlowałem tu papierosami” – odpowiada. Po tej rozmowie poczułem się pewniej, bo i dziewczyny, Barbara, Lidia, Ewa i trzy Marie – piękne jak sama Matka Boska Cygańska z kościelnego obrazka... aż kręciło się mi w głowie.

Na koniec powracam do głównego, dyrektorskiego skrzydła Gimnazjum i Liceum, aby na tablicy ogłoszeń jeszcze raz, teraz bez pośpiechu, przeczytać pięknie wykaligrafowany na białym arkuszu wiersz Adama Asnyka, jakby napomnienie skierowane do nowej władzy: *Każda epoka ma swe własne cele / I zapomina o wczorajszych snach... / Nieście więc wiedzy pochodnię na czele / I nowy udział bierzcie w wieków dziele, / Przyszłości podnoście gmach! / Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, / Choć macie sami doskonalsze wznieść; / Na nich się jeszcze święty ogień żarzy / I miłość ludzka stoi tam na straży, / I wy winniście im cześć!*

Wychodzę z Gimnazjum prawie ostatni. Przystaję niepewnie, jeszcze raz ogarniam tęsknym spojrzeniem dziedziniec między bocznymi skrzydłami budynku – teraz opustoszały. Moje Gimnazjum! Ileż tęsknych marzeń i radosnej dumy zawiera to łacińskie słowo... Gimnazjum.

Wcześniej bywałem w mieście, lecz tylko na rynku. Teraz rozglądam się ciekawie po ulicach i uliczkach miasta, obchodzę dookoła foremny rynek, lustruję fasady starych kamienic, zatrzymuję się przy dostojnym ratuszu z półksiężycem i gwiazdą na szczycie. Odchodzę boczną uliczką ku widniejącym z dala resztkom prastarych murów obronnych – grube na metr, może dwa, przysiadłe w ziemi, okradzione z wysokości i legendy dawnych wieków...

Naprzeciw ratusza, po drugiej stronie rynku, uliczka ku świątyni legendarnych Bożogrobców w pierścieniu murów obronnych z blankami i otworami strzelniczymi. I dwa portale w murach obronnych, gościnne, otwarte. Jakby tu właśnie, w Przeworsku, ostał się ostatni już, tkwiący jak atol pośród oceanu hałasu i pośpiechu, dumny zamek obrońców Grobu, Krzyżowców, ze świątynią pełną bożej chwały. Wewnątrz pierścienia murów pas ziemi bożej, „świątyni bez dachu” skąd bliżej do Boga-Ojca. Jeszcze teraz, w cieniach i blaskach wrześniejszego słońca całe w kwiecistych kolorach i wonnościach. Miejsce bezpieczne i szczęśliwe, dumam. Fajnie byłoby tu przychodzić, spacerując – czytać, uczyć się.

Obok, od strony szosy, kościółek zakonny pod wezwaniem Matki Boskiej Śnieżnej. Miejsce zaciszne jak przystań. Tylko wejść i zamknąć za sobą drzwi a grube mury oddziela cię od gwaru i upału. Z ulgą zauważam, że niema tu żywej duszy a i czas jakby przystanął. I zaraz cień samotności przejmuje mnie chłodem. Ale już z bocznego portalu po lewej wychodzi kapłanka, podobna do Tej z witrażu. Przechodzi obok bezszelestnie jak cień na ścianie, wkłada kwiaty do wazonu na ołtarzu. Zaraz poczułem się różniej...

Mówią, że bramy do pałacu i parku są teraz otwarte. Muszę to zobaczyć. Ale, czy to możliwe, czy ja także mógłbym tam wejść i zwiedzić tamte cuda? Przecież jeszcze rok temu, za okupacji, podprzeworskie pola Lubomirskich były ogrodzone metalowo-siatkowym, mocnym i wysokim na dwa metry płotem. Pamiętam taki obrazek sprzed roku: w drodze do Przeworska, na przełomie maja i czerwca, idąc wzdłuż tamtego płotu, widzę wewnątrz ogrodzenia, zdumiony, zielone pole bujnej plantacji czegoś, co przypomina mi młodą, bujną koniczynę, albo młodą nać ziemniaczaną. Jak okiem sięgnąć, plantacje. Zbliżam się do płotu, przystaję i co widzę – morze czerwono-białych owoców, poziomek wielkich jak orzechy włoskie bądź kasztany. Przecieram ze zdumienia oczy. Ileż to razy zbierałem w lesie poziomki, ileż razy trzeba się było pochylać, szukać, aby garść uzbierać. We wsi, zakradałem się czasem, głodny witamin, na cudzy ogród przez drewniany płot, ale tu nie było jak pokonać, wysoką na chłopa, stalową siatkę. Nawet ramieniem nie można było sięgnąć do tych „poziomek” jak z bajki, bo były oddalone na „bezpieczną” odległość od płotu.

Bardzo sprytne i chytne! Panowie znają wieśniaków-głodomorów, co to niczemu nie przepuszczą. We wsi nie znano jeszcze truskawek, a szkoda, bo ich uprawa nie wymaga najlepszych, pańskich gruntów, wystarczą chłopskie, piaszczyste, przydomowe ogródki i wąskie jak płachta, zagony. Przykro mi, że panowie strzegli przed takimi jak ja, tajemnicy uprawy truskawkowych plantacji, jak czegoś strategicznego. A wystarczyłoby podarować biedakom pęk odrostów do przydomowego ogródka. Na szczęście, po wojnie i parcelacji wies nauczyla się uprawy truskawek i stała się, kilkanaście lat później, truskawkowym zagłębem.

Tamte wspomnienia z okresu okupacji, utrwalona świadomość, że jeden miał wszystko a inni nic, kazały mi powątpiewać, czy bramy parku są otwarte. Tak, otwarte! Wchodzą i wychodzą stąd ludzie pracy, młodzież i dzieci. Co za frajda! Już jestem wewnątrz, przystaję co krok niemal, wybałuszam oczy jakbym ujrzał siódmy cud świata i nie do wiary: nikt mnie psami nie szczuje. Na frontonie pałacyku, raczej bezstylowego, odczytuję napis: „Ubezpieczalnia społeczna”. Oddycham swobodnie, radośnie; już nie jestem najmitą przed

progiem pałacu. Jest tu bezpłatna przychodnia lekarska dla biedaków, jak ja. Ludzie są tu jak u siebie. Czuję jakby opadały ze mnie pęta! Ogarnia mnie poczucie cichego szczęścia, że doczekałem się odpowiedzi na pytania stawiane przez uwielbianą Poetkę:

Czemu ta przepaść, która braci dzieli / Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli, / Tak jest bezbrzeżną jak oceany, / A tak straszną, jak rozwarłe rany ?... / Czemu jej zrównać, zappełnić nie mogą / Wybuchy pomsty ogniów swych pożogą ? / Czemu jest zawsze, jak rozpacz, bezdenna, / A jak nienawiść, okropna, płomienna ?

Odpowiedź brzmi: dzieje się tak, kiedy bogaci żywią się krzywdą biednych i wykluczonych a rządzący uciskają i niewolą poddanych. Szkoda tylko, że to nie deklarowana miłość bliźniego, nie bojaźń przed bożym gniewem, lecz zwycięskie buntury niewolników muszą przywracać chwiejną równowagę w sferze społecznej. A dopiero co odczytany napis na frontonie pałacyku o wprowadzeniu społecznego ubezpieczenia zdrowia kojarzy się mi ze świątynią, gdzie można otrzymać pomoc, kiedy się jej potrzebuje. Ale już zmuszanie do korzystania z pomocy zarówno w przychodni jak i świątyni, bądź też zakaz korzystania z pomocy, byłyby nadużyciem sumienia.

Kiedy tak „bezkarnie” zwiedzam coraz nowe zakątki malowniczego parku angielskiego Lubomirskich, teraz miejskiego parku, czuję z perspektywy wykluczonych, wsi i jej mieszkańców, że teraz wolność bije jak dzwon – dla wszystkich. Zawracam z obrzeża ku przypałacowej alei wysadzonej starodrzewem grabów. Rozpiera mnie satysfakcja, że niema już dziedziczonej od pokoleń, nie zawinionej nędzy „nisko” urodzonych, i niema dziedziczonego od pokoleń, bez zasług, bogactwa „wysoko” urodzonych, niema religijnego podziału na lepszych, katolików i gorszych, prawosławnych i Żydów. Teraz da się tu żyć – myślę.

Powracając, przez otwartą teraz, północną bramę parku, od strony Cukrowni, mimo, że jestem głodny i zmęczony, to nie przestaję myśleć o tym, jak piękne jest to miasto – Przeworsk, i że fajnie byłoby tu mieszkać. A, że droga powrotna do Gniewczyny męczy, bo długa, wyboista i ruchliwa, uciekam w rozmyślanie o rzeczach wiecznych: dlaczego jest raczej coś niż nic, skąd to stałe uczucie niepewności co do własnego myślenia, skąd ten gorzki smak niespełnienia, dlaczego o przyjaźń jest tak trudno, jak o perłę na dnie oceanu. I jeszcze o tym, że najpiękniejsze fragmenty naszej religii to „Kazanie na górze”, „Psalmy” i „Pieśń nad Pieśniami”, może jeszcze „Księga Hioba”. Wszystko żydowskie! Jakaż potęga myśli i słowa bije z tych tekstów i ich tajemniczych autorów, ludzi księgi... I gdy porównuję poznane z lekcji historii i łaciny greckie i rzymskie mity z żydowskimi, znanymi z Biblii, chrześcijańskimi, znanymi z Ewangelii i pogańskimi mitami naszych dalekich pradziadów, zakodowanymi do dziś w naszej podświadomości, to dochodzę do wniosku, że ludzie byli i są wszędzie tacy sami, że stoją wobec takiej samej grozy istnienia, wobec przerażającej śmierci oraz bezradności wobec przemijania, więc marzą o dobrym i opiekuńczym Bogu, który nadałby sens przygodności i skończoności ich życia, który pozwoliłby pogodzić się z życiem jako nieuchronną klęską, pogodzić się ze śmiercią.

Ale w kontekście męczeńskiej śmierci mordowanych żydowskich dzieci w Gniewczynie to nie wiem co myśleć o Opatrzności. I nie ma na to myślenie czasu, bo nigdy nie kończąca się codzienna troska, walka ze słabościami, z udręką codziennych pragnień, i niepokojów oraz niepewność co do swego rozumowania, przerastają nas tak dalece, że symbolizujemy je w mitach, opowieściach o tym co jest wspólne. I tak każdego dnia spełnia się mit o przekraczaniu granic własnego doświadczenia, bo każdy lubi marzyć o nieosiągalnym, jak mityczny Dedal i Ikar – i to jest nasza wielkość, ale tylko wyjątki współczują innym, jak mityczny Prometeusz – i to jest nasza małość.

Tu czas pożegnać świat ideałów, magię miasta Przeworska i rajską przytulność angielskiego Parku Lubomirskich, bo minąłem mury i magazyny cukrowni, zbliżam się do wiaduktu kolejowego na linii Rzeszów - Przemyśl, jeszcze mostek Micha, rozjazd ku Chałupkom i Jagielle i wreszcie, na południowym skraju wsi, przysłonięte drzewami i krzewami, trochę ponure zakole rzeczyska Mlecзки z zastaną i zatęchłą wodą o ciemnej powierzchni z zielskiem i kwieciem przeróżnym. To właśnie tu zastrzelił bezbronnego Nuchyma niemiecki żołnierz Wehrmachtu. Przez lata uczęszczania do Gimnazjum, każdego dnia to miejsce przykuwało mój wzrok. Z początku odróżniało się prawie czystym, zazielenionym prostokątem na tle buszu wybujałej trawy i dzikich krzewów, po miesiącach porastało w połowie do otaczającej je roślinności, po roku dwu i trzech mogłem się tylko domyśleć po ukształtowaniu terenu gdzie znajduje się grób młodego, polskiego Żyda, który zdążył przed 39. rokiem zaliczyć obowiązkową służbę w polskim wojsku.

Stąd, od zakola starorzecza Mlecзки, ku północy, zaczyna się moja wieś, Gniewczyna, gdzie ciasnota zagrzybionych chałup, trudne do zwalczenia w zimie insekty, chmary much w lecie i gnojówki na podwórkach, gdzie szkoła, parafia i karczma mają starczyć za cały świat, gdzie nuda z braku światła elektrycznego, biblioteki, książek pod strzechą, piłki do gry, roweru, zżerała psychikę młodzieży jak rdza żelazo.

13. PORACHUNKI

We wsi rozchodziły się szeptane wieści, że tracimy Lwów, Grodno i Wilno. W atmosferze braku pewności co do dalszych losów Polski, ideowe skrzydło AK lojalne wobec Rządu w Londynie i zafascynowane partyzancką sławą dalej czekało „z bronią u nogi” na Amerykanów, Anglików i na „jeźdźca znikąd”, na Andersa, który miał przyjechać na białym koniu.

Przedwojenne elity wyznawały filozofię dwu wrogów, więc pro-sowieckość i pro-rosyjskość były źle widziane. Dlatego jesienią 1944 roku zastrzelono we wsi 5 osobową rodzinę Siuśtów „spod kościoła” tylko dlatego, że w ich domu przebywał czasowo na kwaterze radziecki oficer. Prawicowe podziemie stało się ofiarą historii: nie dość, że zostało wpuszczone w maliny, to jeszcze samo spaliło za sobą ostatni most; potraktowali Rosjan jak wrogów, mimo, że Rosjanie traktowali nas jak swoich, sprzymierzeńców. A że usiłowali nas ideologizować... Wyzwolili nas i zagwarantowali optymalne granice, więc mieli prawo oczekiwać od nas, jako sąsiadów, lojalności. Kto bez winy niech pierwszy rzuci w nich kamieniem. My nie mamy do tego prawa, bo przez wieki żywiliśmy się krzywdą prawosławnych w zachodniej Ukrainie i Białorusi, bo po pierwszej wojnie ukradliśmy słabszym od nas, Litwinom, Wilno, bo w 1938 roku w aliansie z Hitlerem odbieraliśmy południowym braciom, Czechom, Śląsk Cieszyński, bo założyliśmy dla przeciwników politycznych obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej, na wzór hitlerowskiego w Dachau, bo niszczyliśmy cerkwie braci prawosławnych na wschodniej ścianie...

Znacznie później od opisywanych tu zdarzeń, kiedy parafia uroczystie witała przyjazd przemyskiego biskupa, to oprócz świty kościelnej, młodzieży i banderii konnej wystąpił najmłodszy, niedawny wywiadowca AK, Julek Marek („Mały”) przebrany na radzieckiego żołnierza: zniszczony i podarty drelich wojskowy, jedna nogawka krótsza, dziura na kolanie, podarta bluza, poplamiona furażerka, zniszczone buty, karabin drewniany na sznurku. „Kuda na Bierlin?”, „dawaj czasy”!, „machniom?” – obśmiewał Rosjan ku uciesze gapiów. Nie spotkało się to z protestem otoczenia.

Panowała atmosfera przyzwolenia na anty-sowietyzm. Julek w swojej świętej naiwności nie był świadom tego, że to Sowietci pokonali naszego śmiertelnego wroga, że pół

miliona sowieckich żołnierzy poległo, aby on się mógł cieszyć wolnością. Szkoda, że nikt z obecnych tam i znaczących osób nie udzielił Julkowi lekcji szacunku należnego tysiącom cmentarzy żołnierzy radzieckich na terenie Polski, w tym dla 8 tysięcy pogrzebanych na wojennym cmentarzu we wsi Niechciałki, niedaleko stąd, przy trasie Sieniawa – Jarosław. Ten prześmiewczy gest, sprowokowany przez atmosferę przyzwolenia na anty-sowietyzm, nie mógł Julkowi ująć na sucho. Odsiedział swoje, ale nadal chlubi się swoim czynem.

Skutki wyznawania teorii dwu wrogów i mordu na Siuściach okazały się tragiczne dla najmniej winnego, mianowicie dla Władysława Słysza, maturzysty, który zaliczany był do „gołębi” wśród ideowych AK-owców, bo był przeciw przemocy wobec ludności. Z natury wrażliwy inteligent nie wchodzący nikomu w drogę, w AK znalazł się z poczucia solidarności do miejscowych kolegów. Nie było nic na niego, nie musiał się ukrywać, ale stał się tragicznym zakładnikiem kolegów, którzy mogli mu nie wybaczyć złożenia broni.

Zdążając z Gniewczyny Trynieckiej ku domowi nie wziął po uwagę, że po zastrzeleniu rodziny Siuśtów grupa żołnierzy radzieckich przy obsłudze reflektora lotniczego na polach, przy drodze głównej, między dwoma częściami wsi, mogła kontrolować pobliskie otoczenie, przede wszystkim od strony drogi. Władek zamiast ominąć z dala placówkę wojskową, ścieżką wzdłuż domów, to wybrał drogę główną pośród pól a było ciemno choć oko wykol. Nie słyszał zbliżających się po piaszczystej ścieżce żołnierzy. Aż nagle, z bliska oświetlili go latarkami. Groźne „ruki w wierch”! A, że miał przy sobie pistolet, przestraszony – rzucił się do ucieczki. Przeszyli go ścięciem kul przez pierś... A był dumą i nadzieją rodziny.

Jest niedziela, zabawa weselna w ogrodzie u Niemców. Dźwięki orkiestry dobiegają naszego domu, słońce już zaszło, kładą się pierwsze cienie zmroku. Sfrustrowany i znudzony, wychodzę za dom, miedzą na górkę, w pole, sam nie wiedząc po co, szukam pierwszych gwiazd. Nagle, znad miedzy: „paszoł won”... Za tarczą karabinu maszynowego, skierowanego ku domom, leży sowiecki żołnierz. Unoszę nieco ręce, otwieram dłonie, odwracam się i już mnie nie ma. Jeszcze nie zdążyłem ochłonać, ani komu o tym opowiedzieć, kiedy wystrzeliła w niebo rakietą i wokół jazgot z automatycznej broni, jak zapała ogniowa wokół wsi. Pierścień żołnierzy zacieśniał się wokół zabawy weselnej, na której spodziewano się dopaść tych z podziemia, z bronią. Byli tam, ale zdołali uciec. Jeden przesiedział do rana ukryty na pobliskim drzewie, drugi uciekł opłotkami i łąką ku zarośniętej wiklinami Mlecze.

Byli to ostatni z czterech maturzystów: Feliks Jagieła i Antoni Rachwałowski. Nie nocowali już u siebie, ale czasem wpadali do domu, aby odreagować stres. Wczesnym świtem, kiedy było jeszcze szaro, pod młyn podjechał samochód z wyłączonym – na ostatnim odcinku drogi – silnikiem i zgaszonymi światłami. Właśnie Felek tej nocy spał w mieszkaniu przy młynie. Było ich, milicjantów, ośmiu. Znali rozkład obejścia jakby stąd byli. Trzech na zewnątrz, na straży, pięciu, łomem i naporem ciał, wyłamuje w parę sekund drzwi.

Felek spał czujnie, w swetrze, spodniach i butach saperkach, jakie nosili niemieccy żołnierze. Za cholewą saperki – pistolet. Zerwał się gwałtownie ze snu i już był na nogach, kiedy wpadli. To, że nie musiał ubierać butów pod ich okiem, i to, że na stole zobaczyli furę pieniędzy, sprawiło, że nie przeszukali go dokładnie, co zezwoliło mu zachować broń za cholewą. Wyprowadzili go do auta, posadzili do szoferki między dwoma, trzeci ubezpieczał na zewnątrz.

Pozostali powrócili rewidować mieszkanie i młyn. Spodziewali się znaleźć więcej pieniędzy. W młynie dużo zakamarków. Szukają, upłynął kwadrans, potem drugi. Szansa dla Felka. Ochłonał z szoku. Siedzi z rękami na kolanach, waży szansę. Ten z lewej, przy

kierownicy, zapala papierosa a że dym gryzie go w oczy, naciska klamkę i uchyla nieco drzwi kabiny.

Teraz! Felek opuszcza dłoń z kolana, chwyta zza cholewy pistolet strzela do tego z lewej i równocześnie rzuca nim w uchylone drzwi kabiny. Ten z prawej ma automat, ale nie mogąc go użyć w ciasnocie kabiny, rzuca się na plecy Felka usiłując go zatrzymać. Felek przez ramienie strzela do tyłu, rani, uwalnia się od chwytu i, nad wypchniętym, wyskakuje z kabiny.

Trzeci, za samochodem, zaskoczony strzałami, nie wie z której strony interweniować, moment wahania i widzi, już parę kroków od auta, uciekającego Felka. Ten w biegu, pół odwrócony w lewo, strzela raz, drugi i trzeci. Tamten chowa się za samochód, to wystarcza Felkowi, aby dopaść podwórka Chmurów. Wbiega za stodołę i znika wśród gęsto zabudowanego terenu. Później, zdolali jakimś cudem, wraz z Antonim dotrzeć, kanałami podziemia AK, do Anglii.

Natomiast dzicy „partyzanci” przyzwyczajeni do bezprawia czasu wojny teraz, aby przeżyć, rabowali gospodarstwa we własnej wsi.

Gdy dniało, do domu Stanisławy i Andrzeja Pilków na obrzeżu wsi zastukali dzicy „partyzanci”. Wysunięte na postrach karabiny. „Wyprowadźcie z obory krowę na powrozie, jak nie to pożałujecie”. „Panie, zlitujcie się, krowa, to cały nasz majątek, mąż jest kaleką, bójcie się Boga, nie zabierajcie...” i w płacz... W milczeniu wyprowadzili krowę. Zawrócił jeden: „nie płaczcie matko...” i wcisnął jej do ręki zegarek kieszonkowy, zepsuty, z dedykacją: „...komuś tam... Jarosław...”. Przez dziesiątki lat wisiał ten zepsuty zegarek nad łóżkiem Stanisławy i Andrzeja Pilków na pamiątkę nieodżałowanej krasuli zaszlachtowanej gdzieś w lesie, poćwiartowanej i zjedzonej przez spanikowaną teraz dziką „partyzantkę”...

Marię i Józefa Ciupów/Górskich budzą w środku nocy natarczywe walenie w drzwi od tyłu domu. Groźne „otwierać, swoi, partyzanci”... Wpadają, przeładowują karabin, świecą w oczy latarką, spychają gospodarza karabinem z powrotem do izby. „Na ziemię, k... mać” – krzyczą. Przygarnięte między rodziców dzieci, Edzio i Władzio, leżą twarzą do podłogi. Jeden stoi nad nimi, pozostali plądrują. Maria płaczliwym głosem: „panie, my nic nie mamy...”. „Ch... nie pan” – odpowiada zmienionym, nienaturalnym głosem. Zabrali wszystkie ubrania i co było do jedzenia. Rankiem, Maria długo rozglądała się za workiem po ziemniakach: szykowała sobie nową spódnice...

Tejże jesieni 1944 roku zastrzelono, w ramach miejscowych porachunków, w południowym końcu wsi Józefa Koniecznego, ożenionego z Anną Wiech, ojca Zosi i Stasia, w zemście rzekomo za wydanie podczas okupacji dwu młodych ludzi z bronią, będących u niego owej pechowej nocy na noclegu. Ci zaskoczeni na noclegu, na strychu stajni, to jeden z dwu a może trzech braci Drzystków z obrzeża wsi, z tzw. Piasków i jego, nieznany we wsi, kompan. Teraz, po roku albo dwu od śmierci tamtych dwu, gdy szło ku końcowi wojny, dla niektórych była to ostatnia szansa na krwawe rozrachunki. Józek, nie mógł być autorem donosu na swoich gości, bo byłby pierwszym z podejrzanych, więc narażonym na zemstę.

Był ktoś trzeci, który wrobił Józka podsyłając mu „gości” na nocleg a potem ich wydał. Powód do zemsty mieli zarówno krewni Drzystka z Piasków, jak i ten trzeci, aby usunąć świadka. Wokół Józka gęstniała atmosfera strachu. Ostrzegała go rodzina, więc przebywał w domu i koło gospodarstwa tylko w dzień a kiedy gęstniał wczesny, jesienny zmrok (we wsi nie było elektryczności), wymykał się na nocleg poza domem. Tragiczny okazał się dla niego wczesny wieczór, kiedy spędzał ostatecznie, niespokojne chwile przed wyjściem z domu. Nagle łoskot przy drzwiach, potem walenie w okna i krzyk: „ruskije żołdaty, otkrojtie dwieri, budiem strielać!” Wewnątrz popłoch. Józek nie przewidział, że

zabójcy w podły sposób wykorzystają, z pewnością za alkohol, dwu radzieckich żołnierzy (ich jednostka zatrzymała się w gorliczyńskim majątku), aby wywołać wskazanego chłopą z domu. „Chcemy mu tylko dać po mordzie...”, tak mogli zapewniać żołdatów.

Właśnie żona Józka widzi przez okno sylwetki dwu żołdatów w długich płaszczach i papachach – z automatami. „Za samogonem...” – myślą... Otwierają drzwi. „Dawaj, pajdziom do komandira”. Wzięli go między siebie, ale zaraz, za domami, wyłaniają się z zmroku trzy postacie. „Wasz czelowiek, bieritie” – mówią żołdaty. Chwycili go za ręce, trzeci zarzucił mu węzeł postronka na szyję...

Prowadzą go polem, byle dalej od chałup, potem przez pobliski las zwany sośniną. Jeszcze na chwilę darują mu życie, za blisko chałup. Zaprowadzili go pięć kilometrów dalej, za linią kolejową skierowali się ukosem w lewo, ku rozległym lasom między Jagiełą a Gorzycami. Weszli na leśną ścieżkę. Po lewej dziesięciohektarowy młodnik sosnowy, tak gęsty, że stanowił od ziemi na wysokość człowieka, nieprzejrystą, zieloną ścianę. Aby wejść w głąb, trzeba się było przedzierać gęsiego. Przy końcu młodnika weszli za kilka nisko przysiadłych chojaków... Znalezione Józka dopiero na przedwiośniu, po zniknięciu śniegu...

W studni, na ostatniej Budce kolejowej nr 5, przed stacją kolejową „Tryńcza”, znaleziono 5 ciał mężczyzn i kobiet a na nich puste walizki. Wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec wracali teraz pośpiesznie wszelkimi sposobami, pieszo, rowerami, „na okazję”, wozami konnymi, wojskowymi pociągami i samochodami ciężarowymi, aby teraz, na drodze z Gniewczyny do Sieniawy, przed progiem własnych domów, doczekać okrutnej śmierci z rąk miejscowych, dzikich „partyzantów” dysponujących nielegalną bronią.

Przy małym promie w Gniewczynie, poniżej ujścia Mleczy, napadnięto przed wieczorem na wóz z 5 osobami powracającymi z Niemiec. Młoda dziewczyna zdołała uciec. Dopadła do pobliskiego domu Władka Pelca, gdzie udzielono jej pomocy. Dzika „partyzantka” czasu wojny żywiła się tragedią powracających z niewoli i zarazem paliła mosty wobec nowej władzy.

Pozostała jeszcze jedna mroczna opowieść o tym jak hitlerowska okupacja zdeprawowała sumienia mężczyzn. Ta opowieść odkrywa najbardziej ciemną stronę ludzkiej a dokładnie męskiej natury w czas bezprawia. W kilka tygodni po wyzwoleniu przez Armię Radziecką, Antoniego R. odwiedzili w samo południe dwaj dobrze znani, młodzi, dzicy „partyzanci” z pogranicza Łańcuckiej i Trynieckiej. Liczyli na szklankę samogonu i kanapki. Zobaczyli za stołem posilających się dwu sowieckich żołnierzy bez dystynkcji i broni. Ci może zgubili swoją jednostkę, albo nie mogąc znieść wojennej traumy, zdezerterowali. Na nogach mieli nowe, skórzane buty z cholewami, z pewnością oficerskie. Dzicy jakby się najeżyli, zwietrzyli w lot okazję, byli świadomi, że nikt się nie ujmie za dezertierami. Poprosili gospodarza „na słówko”. Wyszli z kuchni do sieni. Zapachniało krwią ...

Rosjanie odsuwają się od stołu, wstają, pytający wzrok ku gospodyni. Skinęła im ręką, jakby chciała zapewnić, że panuje nad sytuacją i szybko do drzwi. „....A może by tak... buty zabrać, ciała zakopać pod gruszą, będzie lepiej rodzić...”. Wzburzona, gwałtownie otwiera drzwi i krzyczy: „Jantek, bój się Boga, ani mi się waż! Jak wy się Boga nie boicie, jabym tego nie przeżyła...chodź tu zaraz...”. Maria od zawsze była sumieniem i rozsądkiem tego domu, Jantek – rozrywkowy. Wobec tego, że Rosjanie zostali ostrzeżeni, a mogli mieć ukrytą broń, i gospodyni wykazała determinację, dzicy „partyzanci” pośpiesznie odeszli.

Maria popychała Jantka do kuchni i powtarzała: „nigdzie nie pójdziesz, jabym tego nie przeżyła”. Żołnierze – bladzi, wystraszeni. „Chadziajka – mówi jeden – my kromie chuja i duszi niczewo nie imiejem...”. „Da, da, ni zołota, ni djengi” – dodaje drugi. Nawet do głowy im nie przyszło, że chodziło tylko o buty, ich buty. Nie dokończyli posiłku mimo, że gospodyni dolewała barszczu, dokładała parujące ziemniaki.

Przez wiele lat ciocia Maria żyła w cieniu tragicznego losu Żydów, których nie zdołała uratować od śmierci i w cieniu dramatycznego wyznania rosyjskich żołnierzy wobec grożącej im absurdalnej śmierci z rąk polskich, dzikich „partyzantów”.

W skutek zabójstw i napadów rabunkowych, do miejscowej szkoły przyjechała Milicja w wojskowych, jeszcze letnich drelachach. Zaraz zjawił się miejscowy, niejaki Rubin, brat albo mąż Kasi Rubinki spod młyna, z karabinem i białą-czerwoną opaską na ramieniu. Wartownik nakazał mu zostawić karabin w korytarzu i wejść do klasy na parterze po prawej. Stanął na baczność przed starszym i zameldował się „do służby w Milicji”. Wówczas bez rekomendacji lewicowej partii nie przyjmowano do służby, więc starszy podszedł do Rubina i z całej siły rąbnął go w twarz, aż ten się wyrócił. Tę scenę widzieli przez okno chłopcy. Miejscowy mógł być przypadkową ofiarą atmosfery nieufności władzy do cywilów z bronią.

Trwa bój o Berlin. W tym ostatnim epizodzie wojny o wszystko ginie ćwierć miliona radzieckich żołnierzy, także za naszą wolność, ale moje Prywatne Gimnazjum i Liceum z lwowskimi teraz pedagogami udaje, że to nie nasza sprawa. Dawne elity nie mogą się pogodzić z utratą tego co w gruncie rzeczy nie było nasze, kolonii na wschodzie, gdzie się można było pożywić krzywdą biedniejszych, Ukraińców, Białorusinów i Litwinów.

14. PROMETEJSKA ŻYDOKOMUNA

*Ten, który wszystkim serce swe otwiera,
Francuzem jest, gdy Francja cierpi, Grekiem –
Gdy naród grecki z głodu obumiera,
Ten jest z ojczyzny mojej. Jest człowiekiem..*

Antoni Słonimski,

Powracając do Żydów, to gdzie niedoszłe ofiary mordów miały szukać ratunku przed naszym polskim antysemityzmem, w szczególności przed prawicowym, wrogim wobec Żydów podziemiem, jeśli nie w służbie nowej, powojennej, teraz ludowej, głoszącej równouprawnienie, demokracji? Okaleczone niedobitki Zagłady, często jedyni członkowie rodzin, nie miały wyboru, były wprost skazane na opowiadanie się po stronie władzy ludowej.

Żydokomunizm Marksa jest ideą, marzeniem o sprawiedliwości społecznej, zaczynem sprawiedliwych przemian społecznych. Ale nie sprawdza się na poziomie politycznym, gdzie jest utopią, systemem sprzecznym z naturą ludzką. Aby istnieć, przeistacza się w totalitaryzm. I właśnie za ten totalitaryzm nienawidzimy system komunistyczny, nie za ideę sprawiedliwości społecznej.

Podobnie jest z głoszeniem *królestwa bożego na ziemi*. Jako idea jest pięknym marzeniem ludzkości, zaczynem odnowy moralnej, ale nie sprawdza się na poziomie politycznym, gdzie jest utopią, systemem sprzecznym z naturą ludzką. Aby istnieć, przeistacza się w tyranie. I właśnie za tą tyranie nienawidzono państwo wyznaniowe, nie za ideę *królestwa bożego na ziemi*.

Świeccy nienawidzą żydokomuny za totalitaryzm, nie za rozdział kościoła od państwa, natomiast elity religijne – odwrotnie. Hasło żydokomuny sieje nienawiść do Żydów jako ludzi. Jak nie kijem ich, to pałką...

Ale jest coś, co zbliża żydokomunę do chrześcijaństwa, mianowicie pewna komplementarność w zakresie rygoryzmu etycznego, gdzie obie strony świetnie się uzupełniają nawzajem. **Stąd autorytet Kościoła w czas socjalizmu, czyli w czas państwa opiekuńczego, jakiego nie było od lat tysiąca i zarazem państwa rygoryzmu etycznego, sięgał wyżyn... W czas socjalizmu – powtarzam – bo komunizmu politycznego u nas nie było, chyba, że ideowy, w wykładni Jezusa, w zakonach.**

15. JESZCZE O DRAMACIE GOŁDY

Powracam do relacji o Gołdzie, która doczekała się końca wojny w zachodniej strefie Niemiec. Gdy w Alianckim Obozie Przesiedleńczym w Niemczech uzyskała także obce obywatelstwo, powróciła na krótko do Gniewczyny, aby sprzedać, czy przekazać dom i skrawek gruntu zakochanemu w niej Janowi i ostatni raz pożegnać miejsce Zagłady rodziców i rodzeństwa w zagrodzie Trinczerów, jak żegna się zmarłego przed zamknięciem wieka trumny. Bała się pozostać nie tylko we wsi, ale także w Polsce. Wyjechała do dalekiej, półpustynnej ziemi Izraela, bez rodziny, pieniędzy i znajomości języka hebrajskiego. Zdążyła jeszcze wysłać kilka paczek z owocami dla swego wybawcy, jakby nie potrafiła się uwolnić od wspomnień, pozbyć cienia tragicznego losu tych, których kochała.

W Izraelu nikt nie chciał słuchać jej tragicznej historii rodzinnej. Symbolizowała to wszystko, o czym Izrael chciał zapomnieć – diasporę, żydowskie miasteczka i getta. Dla obrony koniecznej Izrael potrzebował nowego typu Hebrajczyków: silnych i dumnych, umiejących walczyć o swoje prawa. Dla urodzonych w Izraelu pamięć europejskiej historii Żydów zakończonej Holokaustem była czymś obciążającym, powodowała kompleksy i traumę. A dla Gołdy pamięć o rodzinie pozostawała otwartą raną. Odczuwała to, co Marii Konopnickiej Mendel Gdański:

Pan powiada, co u mnie nic nie umarło? Nu, u mnie umarło to, z czym ja się urodził, z czym ja sześćdziesiąt i siedem lat żył, z czym ja umierać myślał...Nu, u mnie umarło serce do tego miasto!... Adonai! Adonai!

U Gołdy umarło serce do rodzinnego miejsca, Gniewczyny, do Polski! Boże! Boże! Nie wiem, może resztę czasu przeżyje w nasilającej się, rozpaczliwie żalosej tęsknocie za najbliższymi, którzy na zawsze pozostali tam, w nieludzkiej, gniewczyńskiej ziemi. Albo będzie się zmagać z powracającymi depresjami, coraz cięższymi, prowadzącymi do choroby a może samobójczej śmierci, lub może zginie w izraelskiej wojnie o niepodległość (list.1947 – luty 49) jako jedna z dwu tysięcy młodych ludzi, którzy ocalili z Zagłady jako jedyni członkowie swych rodzin a teraz dopełnili ofiary całopalnej, umarli za młode Państwo Izraela. Jak dotąd, nikt nie zna dalszego losu Gołdy...

Może zdążyła wnieść prośbę o nadanie swoim wybawcom najwyższego izraelskiego odznaczenia cywilnego „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” z napisem „*Kto ratuje jedno życie – ratuje cały świat*”. Ale medalu nie przyznaje się tym, którzy za ratowanie pobierali wynagrodzenie. Wykorzystali dramat kobiety: zamiast udzielić jej pomocy, do czego byli moralnie zobowiązani, jako towarzysze niewoli i niedoli, wykorzystali ją. To też była hucpa przypisywana zwykle Żydom, a chętnie praktykowany przez nas, chrześcijan.

Pozostało po Gołdzie kilka znaczków pocztowych z Izraela. Tak mało i tak dużo zarazem. No, pozostało po zamordowanych rodzinach osiem żydowskich domów, teraz już zasiedlonych przez sąsiadów, gdzie długo po tym opukiwano ściany i zrywano podłogi w poszukiwaniu ukrytych pieniędzy tych nędzarzy i gdzie rozpruwano ciepłe jeszcze pierzyny,

poduszki i kołnierze ubrań w poszukiwaniu za złotymi pierścionkami i łańcuszkami na szyję. Pozostał jeszcze przyodziewek, buty, dziecięce buciki i zabawki, Żydom już nie potrzebne, więc niechby nasze dzieci coś na tym skorzystały, myśleli sąsiedzi...

*Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera [...]
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach.
Chmury rozprutych poduszek i pierzyn
Do rąk im przylgną, w skrzydła zmieniają ręce obie;
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym...
„Non omnis moriar” - Zuzanna Ginczanka*

Kto nie był Żydem, ten nie wie co oznaczało nieszczęście w czasach Zagłady. Filozofowie spekulują, że jeśli przetrwanie Żydów przez dwa tysiące lat we wierności Bogu jest dowodem na Jego istnienie, to Holokaust dokonany rękoma chrześcijan, przy braku publicznego protestu ze strony Kościoła, dowodzi wręcz coś przeciwnego. Niestety, antysemityzm bez Żydów jest nadal w Europie obecny, bo jest tragicznym przesądem chrześcijaństwa... Tragicznym, bo poniżając Żydów zaprzeczamy swojej misji...

16. ODREAGOWANIE OKUPACJI

Długo nawiedzały mnie w snach koszmary hitlerowskiej okupacji, niejasne, podświadome poczucie zagrożenia. Pierwsze odreagowanie przyszło podczas oglądania radzieckiego filmu wojennego w sali przeworskiego Sokoła zimą 44/45, gdy trwała jeszcze wojna. Drugie, gdy tuż po wojnie, w czerwcu 1945 roku, kiedy, wracając z Gimnazjum zobaczyłem kolumny niemieckich jeńców maszerujących szosą na wschód przez centrum Przeworska. Zatrzymałem się nagle, pełen zdumienia. Stojąc po przeciwnej stronie od ratusza widzę coś czemu nie mogę uwierzyć. Kolumna za kolumną, niemieccy jeńcy! Zalewa mnie fala radości. Oto podarowany nam przez Armię Radziecką akt zemsty za niemieckie okrucieństwa czasu okupacji.

Bez hełmów, pasów i płaszczy, w zmiętych i zakurzonych mundurach z kieszeniami wypchanymi resztkami rzeczy osobistych, może zaoszczędzonych kawałków chleba, w zabłoconych butach, zgaszone, spocone, brudne twarze, zmęczeni, spragnieni i głodni ludzie. Te kolumny mają być w zamierzeniu nie kończącym się manifestem zwycięstwa, dlatego mają maszerować, tylko maszerować i maszerować na wschód, a nie jechać pociągami.

Stojący na chodnikach ludzie lustrują twarze, odgadują uczucia jeńców. A jeńcy wiedzą, że próżno im szukać litości. Zmęczeni, patrzą tępym wzrokiem na plecy tych przed nimi lub pod nogi. Idą już setki kilometrów, od granic dawnej Rzeszy, oszczędzają siły. Kolumna za kolumną po 50 jeńców, z przerwami co 10 metrów. Po obu stronach każdej z kolumn kilku czerwono-armiejców z karabinami, sztyki na ostro. Popędzają okrzykami: „dawaj, dawaj”.

Patrzę oniemiały na mijające mnie twarze, w większości młode, tylko niektóre chłopięce, czasem bardzo stare, odczytuję ich uczucia, sycę się ich zmęczeniem. Niczego nie widzę poza kolejnymi, milczącymi twarzami, czwórkami i kolumnami. Usiłuję zapamiętać każdą twarz każdej czwórki w kolumnie, w każdej następnej kolumnie i nie mogę nasycić wzroku. Czekam, aby wzrok któregoś zawiesił się na mnie, wyraził żal i prosił o współczucie. Daremnie.

Nagle jedna ze stojących obok kobiet, wzruszona widokiem młodych, zmęczonych twarzy, rzuca najbliższej czwórce, w środek kolumny, paczkę papierosów w miękkim

opakowaniu, pewnie „sportów”. Gwałtowny odruch konwojenta ku kobiecie i ostry krzyk „nie nada”. Nie zdołali pochwycić, papierosy upadły pod nogi, następni nie odważają się schylić. Nagle ogarnęło mnie uczucie litości dla prostych niemieckich jeńców wojennych, ludzi dla których nie ma nadziei. Lepiej byłoby ujrzeć esesowców, gestapowców, żandarmów i kolaborantów w marszu na Syberię...

Trzecie odreagowanie przyszło już po wojnie, kiedy to 30 września 1946 roku przywódcy III Rzeszy wysłuchali wyroków przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze.

Kiedy dziś słucham narodowców i fundamentalistów wrzucających do jednego worka nazistowską okupację i pojałtańskie uwarunkowania, które – podkreślam to od nowa – wbrew nam samym wyszły nam na zdrowie, to ogarnia mnie litość nad ich głupotą i trwoga co do ich planów, nie tylko wpisać ich do Kroniki polskiej głupoty.

Sowieci zasłużyli na szacunek, bo nas wyzwolili, zagwarantowali optymalne dla nas granice i przywrócili dla takich jak ja, ze wsi, sprawiedliwość społeczną. W odróżnieniu od nazistów nie uważali żydostwa za przestępstwo, nie mieli politycznego planu eksterminacji Żydów i w odróżnieniu od nas samych, nie dążyli do „oczyszczenia” swoich obszarów z nieszczęsnych żydowskich rodzin.

Oczywiście winni są zbrodni katyńskiej z początkowego okresu wojny, ale zanim osądzimy zbrodniarza, spróbujmy go zrozumieć. Była to osobista zemsta tyrana, a nie narodu rosyjskiego. My też nie jesteśmy bez winy. Dwadzieścia lat wcześniej, w 1920 roku zezwoliliśmy wyrzucić z głodu, chłodu i braku opieki lekarskiej większości z 80 tysięcy radzieckich jeńców wojennych w kilku polskich obozach, głównie w Baranowiczach, w powiecie brzeskim, przy granicy z Sowietami (obecnie Białoruś) i nie rozpuściliśmy do domów prostych żołnierzy, jak uczynili to Sowieci i nawet Niemcy w 1939 roku.

Śmierć zadana po cicho i na raty, w białych rękawiczkach, różni się medialnie od śmierci głośnej, nagłej, z krwią na rękach. Ale każdy polityczny plan eksterminacji tysięcy jeńców jest ludobójstwem. Sowieckich jeńców było dwukrotnie więcej. Zarówno pierwsi jak i drudzy mieli matki i ojców a może i dzieci.

Jeśli z Niemcami zrównaliśmy rachunek krzywd, to tym bardziej powinniśmy to uczynić z Rosjanami i Ukraińcami. Resztę pozostawmy historykom i obie strony – swojemu sumieniu.

Stalin był tyranem także dla swoich, ale gdyby nim nie był, nie zdołałby zmusić wielu swoich narodowości do walki na śmierć i życie, nie zdołałby pokonać hitlerowskiej armii a my nie doczekalibyśmy wyzwolenia spod hitlerowskiej okupacji, bo klucz do naszego wyzwolenia leżał na Wschodzie, nie na Zachodzie. Rosjan zginęło w wojnie, także za nasze wyzwolenie, aż 22 miliony, nas w wojnie obronnej 1939 – 100 tysięcy, a podczas okupacji, nie wliczając w to polskich Żydów, szacunkowo 2, 5 miliona.

Stalinowi ciążyła hańba Katynia, skoro odzęgnywał się od mordów na jeńcach kłamiąc i dezinformując opinię publiczną świata, skoro utworzył obozy i zezwolił na wyprowadzenie armii Andersa na Bliski Wschód, skoro utworzył II Armię polską u boku Armii Czerwonej i skoro wymusił na zachodnich Aliantach zgodę na przyłączenie do Polski nie tylko tzw. Prus Wschodnich, ale także Ziemiach Zachodnich na linii Odra-Nysa Łużycka, ze Szczecinem, chociaż nie musiał tego robić.

Honor Rosjan ratował Gorbaczow, teraz – Stowarzyszenie Memoriał. W takim kontekście antysowietyzm i antyrosyjskość są niesprawiedliwe, wynikają ze starych mitów narodowych, z naszego kompleksu ofiary i niewiary w siebie.

17. OCALIĆ PAMIĘĆ

*O ziemio, nie zakrywaj mojej krwi,
iżby mój krzyk nie ustał.
Hiob, 16,18*

Przez kilkadziesiąt lat czekałem, aż odejdą uczestnicy tamtych zdarzeń, aby móc opowiedzieć tragiczną historię Żydów gniewczyńskich z uwzględnieniem ich punktu widzenia, *aby ofiary mogły w tej narracji rozpoznać obraz własnego losu* (JT Goss). Upominam się o tych bezbronnych ludzi, których Zagładę sprowadza się do kategorii „partyzantki”. Do dziś boli mnie nasza irracjonalna skłonność do skrajnych zachowań wobec innych ludzi, brak społecznego zachowania wobec słabych i bezbronnych dzieci. Ich okrutna śmierć nie wzbudziła w nas poczucie winy i chęci zadośćuczynienia, bo nie tylko nie opłakaliśmy ofiar, ale odebraliśmy im pamięć i osobowość. Nie wspominamy imion dzieci, Salci, Aronka, czy Abramka, ani imion ich rodziców, Racheli, Szangli, Lejby czy Hersza, mówimy Żydzi, jak o bezimiennym tłumie, jarmarku. Chociaż po wojnie zepchnęliśmy historię Holokaustu do podziemia, to nie ma ucieczki przed złą pamięcią.

Powraca pamięć, że podczas okupacji zachowaliśmy się wobec naszych współobywateli i sąsiadów, ludzi o takiej samej wrażliwości i godności, jak prymitywni uczuciowo i mentalnie barbarzyńcy. Dlatego słowo *Bóg* wyzwała we mnie emocje żalu, lamentu, że nie było Go w czas Zagłady, że jest *Ignotus Deus*. Natomiast słowo ‘katolicyzm’, mówię to z przykrością, wyzwała we mnie nie milknące poczucie winy za bratobójstwo starszych braci we wierze i odruch buntu przeciw upatrzeniu sobie dobrego Jezusa za współnika Zagłady! A wielkopiątkowa Pasja – w proporcji do Zagłady – brzmi jak prześmiewcza nuta z sześciu milionów Chrystusów doprowadzonych na Golgotę przez chrześcijańską Europę.

Ta moralna ślepota, nieludzka obojętność wobec zdradzonych, tropionych, więzionych, głodzonych, torturowanych, gwałconych, wydanych okupantowi na śmierć przekraczała ludzkie rozumienie i pozostaje do dziś hańbą nie do zmazania. Nie płakaliśmy nad ich losem, więc i na los niedoszłych ofiar nie patrzymy przez łzy – życzliwie, z poczuciem współodpowiedzialności za zadośćuczynienie. Wobec ofiar, dzieci i rodziców, to nasze chrześcijańskie zachowanie było zdradą, ponieważ po pierwsze – wielbimy Żydów w osobach Jezusa i Marii, po drugie – polscy Żydzi znajdowali się po tej samej stronie barykady, byli współtowarzyszami niewoli i niedoli.

Mimo, że sprawa rozliczenia z własną przeszłością, rozliczenia z Zagłady to sprawa głównie nas samych, panuje w Gniewczynie, w domach i szkole, postulat milczenia o naszej współwinie. Tragiczny los żydowskich rodzin z sąsiedztwa jest nadal tematem tabu. Ale nie może być tak, aby umarła pamięć o naszych sąsiadach narodowości żydowskiej. Spośród Żydów wybraliśmy Jezusa na mitycznego Króla Świata, spośród Żydówek wybraliśmy Marię, Matkę Jezusa na mityczną Królową Polski. Każdej niedzieli i w każde święto, gniewczyński kościół wypełniany jest modłami z żydowskich ksiąg świętych, Biblii, i chórem biblijnych psalmów Dawida, najpiękniejszych modlitw jakie kiedykolwiek wypłynęły z serc najbardziej nieszczęśliwych spośród wszystkich istot – ludzi.

Także pośród nas żyli od pokoleń przedstawiciele tej mądrej i uduchowionej narodowości a we wrześniu 1939 roku nie uciekli za San do radzieckiej strefy okupacyjnej, gdzie z pewnością znaleźliby ratunek, lecz pozostali, bo byli biedni, nie mieliby za co przeżyć wojny a po drugie, mimo wszystko zżyli się z nami i ufali, że sąsiedzi, pobożni katolicy, nie będą zdolni ich uwięzić, torturować, ograbić, gwałcić kobiety i w końcu, mimo zapewnień o oszczędzeniu im życia, wydać, całymi rodzinami, na pewną śmierć.

Decyzję o pozostaniu w rodzinnym miejscu niech uzasadni literacki Mendel Gdański: *Ja chcę, cobym ja spokój miał. Ja chce spokojnie zjeść mój kawałek chleba, co ja na niego pracuję! Nu, ja chcę wychować te sieroty, ten chłopiec, co to dziecko człowiek był, co by nikt na niego nie pluł, kiedy on nic winny nie jest! ... Nu, ja chcę, co by się ludzie Boga bali! Nu, ja tego chcę! Ja w to miasto się urodził, w ten dom ja dzieci miał, ja tu warsztat mam...*

Mimo doświadczenia z nimi wspólnoty bytowania na ziemi, która w obliczu rzeczy ostatecznych *nie jest ani nasza, ani wasza ino boża*, i mimo wspólnoty losu, świadomości, że *niema istoty bardziej nieszczęśliwej niż człowiek*, że tożsamością wszystkich nas, ludzi, jest udręka, ból, cierpienie i lęk przed śmiercią, wystawiliśmy starszych braci we wierze, niewinne i bezbronne dzieci Izraela, naszych sąsiadów i współobywateli – całymi rodzinami – na absurdalną i okrutną śmierć, gorszą od śmierci zwierząt!

W czas niemieckiej okupacji Gniewczyna nie była wyjątkiem, lecz przykładem braku społecznego zachowania się wsi polskiej wobec kwestii żydowskiej, przykładem braku ludzkiej wrażliwości wobec skazanych na śmierć, całymi rodzinami, żydowskich sąsiadów i współobywateli, modelowym przykładem barbarzyństwa, chciwości i żądzy pod pozorem zyskania przewrotnie pojętej „zasługi” przed Panem Jezusem. Nieliczne wyjątki *Sprawiedliwych wśród narodów świata* potwierdzają regułę braku ludzkiej wrażliwości wobec niewyobrażalnego cierpienia polskich sąsiadów narodowości żydowskiej.

Nasze nieludzkie poczynania wobec ludzkich istot stokroć nieszczęśliwszych od nas samych pod niemiecką okupacją położyły się mrocznym cieniem na poczuciu dumy z tego, co znaczy być katolikiem i Polakiem po Zagładzie, oraz naraziły nas na utratę szacunku niedoszłych ofiar za zdradę w obliczu wspólnego wroga, nazizmu. A ofiary zamordowane w wyniku naszej chętnej kolaboracji z okupantem nigdy już nie zdążą nam tamtej zdrady wybaczyć.

Staro-żydowska święta księga, Biblia, odczytywana od wieków w Kościele, zadaje nam pytanie słowami Wszechmogącego: *Kainie, co uczyniłeś z bratem swoim, Ablem?* Coście uczynili z niewinnymi i bezbronnymi dziećmi, ich matkami i ojcami, starszymi braćmi we wierze, o których Poeta mówił w College de France sto lat wcześniej, w 1844: *Kraj nasz jest siedliskiem najstarszego i najbardziej tajemniczego ze wszystkich narodów, narodu izraelskiego*. Biblijny Kain odpowiada: *Nie jestem stróżem brata mego*, podczas gdy miejscowi w Gniewczynie odpowiadają: nie jesteśmy żydowskimi pachołkami.

Elie Wiesel, niedoszła ofiara Zagłady, tak o tym mówi:

Zapomnienie to zagrożenie i zniewaga. Zapomnieć o zmarłych to tak, jakby ich po raz wtóry pogrzebać. O ile nikt, prócz zabójców i ich współników, nie ponosi winy za ich pierwszą śmierć, o tyle my ponosimy odpowiedzialność za drugą.

Niesprawiedliwość jakiej się dopuściliśmy względem naszych żydowskich, bezbronnych sąsiadów jest teraz groźniejsza dla nas, niż dla ofiar. One nie żyją, ale sumienie społeczności

gniewczyńskiej będzie się upominać o prawdę, pokutę i zadośćuczynienie przez pokolenia, po wsze czasy.

Droga rozprawy z własną przeszłością jest trudna i bolesna, ponieważ jesteśmy przekonani o swojej moralnej niewinności, odrzucamy własną grzeszność, idealizujemy naszą polską tożsamość, jesteśmy skłonni uważać się za bohaterów i męczenników sprawy narodowej walczących od XVIII stulecia o naszą i waszą wolność, za Chrystusa narodów, za naród niewinnie przez zaborców okupowany, upokarzany i ciemniony. Ten mit ofiary i mistyczne oczekiwanie na cud dziejowy jest fascynujący tylko w konwencji poezji, szczególnie w niepowtarzalnym i nieprzemijającym pięknie boskiej twórczości Adama Mickiewicza, która jak diament odbija piękno świata...

Przerzucanie narodowych nieszcześć na sąsiadów i mniejszości etniczne świadczy o tym, że nie dojrzelismy w pełni do miana cywilizowanego narodu europejskiego. Nie tylko nie potrafimy obronić własnej niepodległości, ale daliśmy się wyprzedzić zaborcom, Prusom, Rosji i Austrii w zniesieniu niewolnictwa polskiej wsi, pańszczyzny, przymusowej pracy chłopów na rzecz rodzimych tyranów. I najważniejsze, brak nam obywatelskiej solidarności, chyba że pod batem i brak nam sztuki współżycia z mniejszościami etnicznymi; nawet wśród Polonii jeden drugiemu wilkiem. Może pasywność, brak czytania i obycia w świecie czyni nas ponurakami wężącymi wszędzie spiski i nie wierzącymi w swoją wartość. To sprawia, że przegrywamy z Zachodem w cywilizacyjnym wyścigu.

W hierarchii ważności spraw ludzkich akces do Unii Europejskiej jest dumą i zaszczytem bycia w dobrym towarzystwie najstarszych i najbardziej cywilizowanych narodów Europy, jest faktem historycznym porównywalnym z przyjęciem chrześcijaństwa. Tylko niedojrzała, nie wierząca w siebie, zgorzkniała i wężąca wszędzie spiski, prawa strona naszej sceny politycznej kieruje się mottem: *my o jedno tylko szlemy // modły k'niebu z naszej chaty, // by nam buty mogły śmierdzieć, // jak śmierdziały nam przed laty* - zaślyszane.

Co do współodpowiedzialności za tragedię Żydów, to idziemy w zaparte udając przed sobą, że nic się w istocie nie stało. A stało się: popioły Zagłady opadły na nasze katolickie sumienie. Po wojnie, zamiast zrobić rachunek sumienia, wzbudzić żal za straszny grzech antysemityzmu, zwrócić się z przesłaniem o przebaczenie do niedoszłych ofiar Zagłady i do Państwa Izraela za odwieczny polski antysemityzm i współodpowiedzialność za Zagładę na ziemiach polskich, to biskupi, mówię to z przykrością, zwrócili się, bez upoważnienia od narodu z przesłaniem o wybaczenie do katów(!) mimo, że ani nie mieli prawa przemawiać przede wszystkim w imieniu 3 i pół miliona zamordowanych obywateli polskich narodowości żydowskiej ani, że nie słyszeliśmy, aby kaci jako pierwsi wyrazili skruchę i prosili nas o wybaczenie. Czy chrześcijaństwo nie zobowiązuje? .

Najwyższy stopień zainteresowania ich Pismami, które uznajemy za święte i za nasze własne zarazem oraz najwyższy stopień zainteresowania ich Ziemią, którą uznajemy za świętą i chcielibyśmy mieć ją na własność świadczą, że uznajemy Żydów za najbardziej tajemniczy i mądry naród świata. W ten sposób my sami potwierdzamy ich status narodu wybranego. To jest jasna strona naszej natury!

Ale jest też druga, ciemna strona naszej natury: wbrew logice obciążamy Żydów za dwa sprzeczne ze sobą ustroje, za kapitalizm i za komunizm, za wszystko z prawa i lewa. Spoza tych oskarżeń wyziera nieżyczliwa zazdrość i żądza. Zazdrość – z kompleksu nieudacznika a żądza – z chęci posiadania na własność tego, co mają Żydzi: święte Pisma i Świętą ziemię. Sposobem na wywłaszczenie Żydów ze spuścizny duchowej i ziemi miało być – rękoma Hitlera – „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”.

Nie chcemy także wiedzieć, że żydowska 10 procentowa mniejszość etniczna wносиła 17 % podatków do skarbu państwa a jej wkład w polską naukę i kulturę sięgał poziomu połowy naszej spuścizny duchowej. Żydowskich laureatów Nobla o polskich korzeniach jest dwukrotnie więcej niż nie-żydowskich. W okresie międzywojennym na niebie polskiej poezji błyszczały nazwiska poetów narodowości żydowskiej: Juliana Tuwima i Bolesława Leśmiana. Posłuchajmy tych poetów:

Julian Tuwim: Kwiaty polskie

*Irusiu! Jaki ustrój kraju
Odbierze Polsce słodycz brzmienia,
Miękki aksamit jej imienia?
Poświeć jej, biednej, jedną chwilę
Melodyjnego zrozumienia,
Pogłaskaj mową jakbyś dłonią
Dłoń naszej matki pogłaskała,
Samą jej nazwą sięgnij po nią –
A będzie „niepodległa”, „cała”...
To tylko wolne, co się w gęźbie
Poczęło, żeby trwać w legendzie:
Spływ krótkich sylab w wieczną miłość,
W imię jak metal jednolite –
A tyle ulubienia w nim,
Że milion kwadratowych mil
Zmieszczę na calu sześciu liter.
Nie darmo to kójące miano
(Olejek leśny, balsam polny)
Z harfa eolską zrymowano.*

Bolesław Leśmian: Urszula Kochanowska

*Gdy po śmierci w niebiosów przybyłam pustkowie,
Bóg długo patrzył na mnie i głaskał po głowie.*

*„Zbliź się do mnie Urszulo! Poglądasz jak żywa...
Zrobię dla Ciebie, co zechcesz, byś była szczęśliwa”.*

*„Zrób tak, Boże – szepnęłam – by w nieb twoich krasie
Wszystko było tak samo, jak tam – w Czarnolasie!” –
I umilkłam złęczniona i oczy unoszę,
By zbadać, czy się gniewa, że Go o to proszę?*

*Uśmiechnął się i skinął – i wnet z Bożej łaski
Powstał dom kubek w kubek, jak nasz – Czarnolaski.
I sprzęty i donice rozkwitłego ziela
Tak podobne, aż oczom straszno od wesela!*

*I rzekł: „Oto są sprzęty, a oto – donice!
Tylko patrzeć, jak przyjdą stęsknieni rodzice!*

*I ja, gdy gwiazdy do snu poukładam w niebie,
Nieraz do drzwi zapukam, by odwiedzić ciebie!”*

*I odszedł, a ja zaraz krztałam się jak mogę –
Więc nakrywam do stołu, omiatam podłogę –
I w suknię najróżowszą ciało przyoblekam,
I sen wieczny odpędzam – i czuwam – i czekam...*

*Już świt pierwszą rozniętą złoci się po ścianie,
Gdy właśnie słyhać kroki i do drzwi pukanie...*

*Więc się zrywam i biegnę! Wiatr po niebie dzwoni!
Serce w piersi zamiera...Nie!... To – Bóg, nie oni!...*

Takie tematy jak prześladowania mniejszości etnicznych i religijnych, grabieże i współudział w ludobójstwie rodzin żydowskich, naszych współobywateli, wypieramy z podświadomości, ponieważ się wstydzimy tego cośmy zrobili w czas bezprawia. Stają się tematem tabu, zakłamaniem groźnym dla naszej tożsamości obywatelskiej. A przecież sprawdzianem pozwalającym na ocenę wspólnoty są jej podstawowe wartości: duma z tego, co jest dobre we wspólnocie i wstyd za to co jest złe. Mam wątpliwości czy Gniewczyna jest prawdziwie chrześcijańską wspólnotą, ponieważ nie podniosło się tu larum nad najokrutniejszym z mordów, mordem dzieci na oczach ich rodziców, nie zrodziło się, jak dotąd, nawet po upływie ponad pół wieku, poczucie wspólnoty winy i wspólnoty zadośćuczynienia.

Dlatego, kiedy odwiedzam Gniewczynę w okresie Świąt Wielkanocnych, to mimo upływu czasu mam niejasne uczucie wyobcowania, ponieważ mieszkańcy, jak co roku, wystawiają z dumą dwa barwne oddziały wielkanocnych „turków” trzymających na zmiany wartę w kościele przy symbolicznym grobie Żyda, Jezusa Chrystusa sprzed dwu tysięcy lat, a nie pamiętają o postawieniu warty w miejscach męczeństwa Jego rodaków, gniewczyńskich Żydów, których tu i teraz wydali całymi rodzinami na śmierć po łapance, gwałtach, torturach i rabunkach, chociaż nie musieli tego czynić.

Więc mnie pozostaje wstyd – poczucie współodpowiedzialności za tragiczny los żydowskich rodzin z sąsiedztwa kościoła. W obliczu ich absurdalnej śmierci, gdy pomyślę, że dzieci żydowskie z sąsiedztwa zostały zdradzone i zamordowane na moich oczach przez chrześcijan a ja, chrześcijanin, uciekłem, to dręczy mnie uczucie, że nie zasługuję na przeżycie. Więc, gdy po głównym, wielkanocnym nabożeństwie, na przykościelny plac i dolinę rozlewa się, zwykle w łagodnym cieple słońca, falami, kolorowy tłum, całymi rodzinami, w radosnym, pełnym dumy nastroju, przy biciu dzwonów, dźwiękach orkiestry i komendach strojnych ‘turków’, to mnie dopadają, jak zły sen, wspomnienia...

Patrzę na wiwatujące, roześmiane twarze a widzę oczyma wyobraźni obławę wieśniaków na żydowskie rodziny, wozy wypełnione spanikowanymi ludźmi, gwałty i tortury, widzę jak umierają całymi rodzinami, jak dzieci Trinczerów odrywają się od rodziców i na ich oczach klękają a potem kładą się pokornie, na własnym podwórku, twarzą do ziemi, z odkrytymi głowami, przed podkutymi butami chrześcijan zbrojnych jak do boju, w hełmy i karabiny...

Słucham bębnow orkiestry, bicia dzwonów, radosnych okrzyków naszych, katolickich dzieci a słyszę grzmot wystrzałów, echa odbite od murów kościoła i okien sąsiadów, słyszę

błagania żydowskich dzieci o okruch chleba, o kubek mleka, o noc bezpiecznego snu, o jeszcze jeden dzień z rodzicami, o jeszcze jedno bicie serca...

Najstraszniejszych rzeczy nigdy się nie dowiemy, bo mogłyby je opowiedzieć tylko żydowskie ofiary, zamordowane dzieci, ich matki i ojcowie.

Wciąż od nowa upieram się przy tym, że księża parafialni, proboszcz ks. Stanisław Kułak i charyzmatyczny wikary, ks. Stanisław Zub, mieli taką władzę nad umysłami wiernych, że mogli, bez ryzyka, uratować ofiary.

Wreszcie ratunek mógł nadejść od gniewczyńskich akowców Oddziału Mewy pod wodzą Lewity, Wojciecha Lisa, którzy mogli zapobiec uwięzieniu żydowskich rodzin, mogli zapobiec torturom i gwałtom na kobietach, wreszcie mogliby, bez ryzyka, wystraszyć czterech tchórzliwych żandarmów z obejsia Trinczerów. A było ich, akowców, wielu i broni mieli pod dostatkiem, bo gdy po wojnie w noc przed św. Izydorem podjęli decyzję o demobilizacji, to przez noc, u Jaśka Rachwała na przysiółku Poręby, zjedli całą jałówkę a potem 'Lewita', 'Żbik', 'Gołąb' i 'Karbowski' wywieźli stamtąd kilkadziesiąt sztuk broni i wóz pełen pancerfaustów.

Mimo upływu lat, gdziekolwiek jestem, widzę – pełen współczucia – pokorne maleństwa rozstrzelwane na oczach skamieniałych z przerażenia rodziców, Szangli i Lejby Trinczerów. Widzę przytulone do siebie, stygnące już drobne ciała i zakrwawione dziecięce włosy.

W tragicznym losie Nuchyma widzę, pełen lęku, samego siebie idącego w ostatnią drogę do niemieckiej komendantury. Widzę u drzwi obory błagające spojrzenia Abramka i jego ojca, widzę w ich oczach koszmar żydowskiego losu, widzę w drobnej, lękliwej postawie Abramka samego siebie. Widzę splecione dłonie, żebracze, pokorne postacie kroczące z pochylonymi głowami, w śmiertelnej ciszy, ku końcowi ich świata, ku Zagładzie, po kres ostatni... Czuję, jak dłoń ojca Abramka zaciska się na pożegnanie w ostatni już krzyk rozpacz.

Ich żydowska rozpacz i lęk przed bólem, cierpieniem i śmiercią są moją rozpaczą i lękiem. Ciężar chrześcijańskiej winy i hańby jest moim ciężarem...

Żałuję, że z nieufności do ludzi i z bezradności, przez miesiące nie pytałem o nich, nie podałem im kromki chleba, kubka wody, jabłka czy rzepy z pola, nie wsparłem ich, kiedy siedzieli, przytuleni z zimna, na stercie nawozu w oborze ogrzewanej oddechem krowy a gdy szli na pewną śmierć, nie odpokutowałem owej winy zaniedbania, nie poszedłem z nimi, ze strachu, w tamten wiosenny, słoneczny dzień, przez bujną zieleń łąki w cień drzew...

18. WSPÓŁODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA HOLOKAUST

Nie jestem Żydem, ale byłbym dumny, gdybym nim był, bo dla mnie słowo *Żyd* brzmi dumnie, kiedy kojarzy się z Biblią i Jezusem i zarazem tragicznie kiedy kojarzy się z Zagładą, krwawą ofiarą na ołtarzu naszych rasistowskich i religijnych uprzedzeń. Więc z zakłopotaniem obserwuję, że rasistowskie i antysemickie wypowiedzi i gesty są tak nagminne, że się banalizują, nie robią na nikim specjalnego wrażenia. Głównym problemem jest brak moralnej wrażliwości ze strony większości ludzi. Nawet sam Prymas na Jasnej Górze wygłosił antysemickie kazanie w sierpniu 1989 roku a rolnicy z tzw. Samoobrony, zebrani w Auli Jana Pawła II, zaintonowali Rotę Konopnickiej zmieniając w refrenie słowa „krzyżacka zawierucha” na „żydowska zawierucha”. Antysemityzm to nie tylko pogląd na tzw. kwestię żydowską, to nadal gotowość na przyzwolenie na zło w imię i na rachunek chrześcijaństwa.

Wiadomo, nie wszystkie ofiary nazizmu w Polsce były polskimi Żydami, ale wszyscy polscy Żydzi byli ofiarami nazizmu i miejscowego antysemityzmu. Więc jak się mają teraz, po Zagładzie, nasze odwieczne oskarżenia Żydów o światowy spisek, mordy rytualne do zorganizowanej przez nas, chrześcijan, Zagłady – na skalę przemysłową – półtora miliona żydowskich rodzin, niewinnych i bezbronnych sąsiadów? W jakim stopniu był to nasz, chrześcijański spisek i mord rytualny na Żydach a w jakim zwykłe barbarzyństwo?

Aby się usprawiedliwić, często sztydziemy z ofiar, że „szły na śmierć jak barany na rzeź”, co ma oznaczać, że milion rodzin nie miało poczucia „honoru”, było tchórzliwe, więc nie zasługuje na pamięć i szacunek. „Swoich” nie pomawiamy, kiedy w 39. tysiącami szli do niewoli nie próbując się bronić mimo, że składali żołnierską przysięgę „...do ostatniej kropli krwi, tak mi dopomóż Bóg” i mimo, że nie próbowali nawet zrzucić munduru i uciekać przed czy z niewoli chociaż było to ich obowiązkiem. I mieli wolne ręce, nie było przy nich dzieci. Ale jest społeczne przyzwolenie na odbieranie godności idącym na śmierć żydowskim dzieciom z ich matkami i ojcami. Katolicy są ofiarami a starsi bracia we wierze – tchórzami? Czy chrześcijaństwo nie zobowiązuje do przyzwoitości?

Bierze nas złość na samych siebie, żeśmy zrobili z żydowskimi dziećmi to, cośmy zrobili, więc odwracamy przysłowiowego kota ogonem, że ofiary są winne, bo szły na śmierć jak barany na rzeź... To moralny cynizm, jakże daleki od deklarowanego przez nas, od wieków, chrześcijańskiego humanizmu!

Ofiary to nie żołnierze z życzliwym zapleczem społecznym, lecz zwierzyna łowna śledzona przez katolickich sąsiadów dniem i nocą, czyli „macana”, zaszczuta i szantażowana, wygłodzona i przemarznięta z płaczącymi dziećmi w piwnicach, na strychach, w stajniach, w opuszczonych ruinach budowli, w „przydachach” dostawionych do stodoł, w nieprzewidywalnym otoczeniu, pełna leku przed polską, kolaborującą z okupantem, granatową policją (Polnische Polizei), śmiertelnie przerażona wydaniem w ręce hitlerowców. Ci w gettach to też dzieci z matkami i ojcami, głodzeni, rozstrzeliwani i wywożeni w bydłowych, zaryglowanych wagonach na śmierć. Dniem i nocą trwała walka o przeżycie jeszcze dzień, jeszcze godzinę i jeszcze chwilę... Żydowskie rodziny mogły tylko własnym ciałem osłaniać dzieci i mieć do ostatniej chwili przed śmiercią nadzieję, że chrześcijanie też mają dzieci i są wyznawcami ich rodaka, Żyda Jezusa i Żydówki Marii, więc nie będą zdolni do mordowania ich dzieci.

Tylko przypadek oddziału partyzanckiego braci Bielskich był postępowaniem wbrew stereotypowi ofiar żydowskich. Ale było to w niedostępnych borach litewskich i białoruskich, na styku działania z AK i partyzantką radziecką. Uratowali z bronią w ręku 1200 osobową społeczność rodzin żydowskich przed śmiercią. Aby przeżyć, musieli także rabować miejscowych chłopów, jak sowieccy partyzanci i jak polscy AK-owcy. Tylko tragicznym Żydom nie wybaczają się, że przeżyli! I AL-owcom, że „zdradzili”. To właśnie jest nasze polskie piekło...

Żydzi od wieków mieli zakodowane w świadomości, że każda próba fizycznego oporu z ich strony w obronie życia czy mienia stanie się pretekstem do pogromu i rabunku. Zatem, lepiej jest pozwolić się skrzywdzić, niż skrzywdzić innych, lepiej nie nosić broni, ustąpić i dać okup z krwi żydowskiej, okup który mógłby zaspokoić żądze katolickiego tłumu, to była ich, sprawdzona wiekami, filozofia na przeżycie pośród chrześcijan.

Kielce były przykładem, że każdy pretekst jest bobry, aby mordować ocalałych, potem rabować i zasiedlić ich domy. A było to tak: tysiące katolickich mieszkańców, od cywili (mężczyzn a nawet kobiet) do mundurowych (żołnierzy, milicjantów, kolejarzy i harcerzy) ruszyło do szturmowania domu na Plantach 7 i na polowanie na ulicach, w mieszkaniach na stacji,

w pociągach. Przez sześć godzin katoliccy mieszkańcy Kielc mordowali oszalałych ze strachu swoich żydowskich sąsiadów, okaleczonych niedobitków Zagłady, w tym kobietę w ciąży i matkę z małym dzieckiem. I brali „łup wojenny”: rabowali swoje ofiary. Chrześcijańskie cnoty opadły z bogobojnych Kielczan jak skóra z liniejącego węża.

Tymczasem elita ludowej władzy, Komitet PZPR, UB i Milicja patrzyła na to bezradnie poświęcając Żydów na ołtarzu schlebiana ludowi a elita religijna, kuria biskupia, księży, zakonnicy i zakonnice, schowała głowy w piasek, zadowolona z „oczyszczenia” kieleckiej diecezji z żydowskiej „zarazy”, żydokomuny. Ludowa władza puszczała oko do ludu, kuria – do wiernych...

Co do Kielc, to do dziś mam mieszane uczucia, z jednej strony pozostał mi sentyment po „Syzyfowych pracach” Stefana Żeromskiego a z drugiej strony czuję do Kielc fizyczną wprost odrazę jak do mrocznej, dzikiej i nieprzewidywalnej, rodem z zamierzchłych czasów, plemiennej duszy, symbolu niecywilizowanej części naszej społeczności.

Nie do uwierzenia, że w średniowieczu było inaczej. Kiedy Europa Zachodnia urządziła Żydom pogromy, rzezie, wypędzenia, przymusowe nawracania na wiarę chrześcijańską, zapędzała do getta, bądź zakazywała mieszkac wspólnie, zadawała kłamstwa o zatrutowaniu studni, używaniu krwi chrześcijańskich dzieci w czas Paschy, to wówczas Europa środkowo-wschodnia, w tym katolicka Polska, wykazała wielkoduszość, stała się prawdziwym azylem dla uciekinierów.

Zmieniło się to na gorsze od połowy 18. wieku. Po odzyskaniu niepodległości w 1920 antysemityzm stał się wojujący, szczególnie po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech. Podczas okupacji katolicy lepiej od Niemców rozpoznawali „swoich” Żydów po oczach pełnych lęku i twarzy pełnej rozpacz. I wydawali ich granatowym (Polnische Polizei) i hitlerowskim okupantom. Procentowo, w porównaniu do reszty okupowanej Europy, najmniej Żydów ocalało w Polsce. Za ukrywanie żydowskiej rodziny mogła grozić śmierć, ale ukrywając dorosłą osobę, lub dziecko, można się było wybronić oświadczeniem o niewiedzy co do ich żydowskości. Przecież za posiadanie broni i przynależność do podziemia mogła także grozić śmierć lub obóz a mimo to ruch oporu liczył ponad 300 tysięcy zaprzysiężonych żołnierzy. Pomagało im kilka milionów osób: członkowie rodzin, przyjaciele i przyzwoci ludzie. Tylko Żydom nie pomagano, chyba, że za grube pieniądze. Sprawiedliwi chrześcijanie byli wyjątkiem, który potwierdzał regułę o nieudzielaniu pomocy Żydom. Tylko nieliczna AL była ideowo zmotywowana, aby chronić Żydów.

Kiedy po szoku Zagłady europejska świadomość wyrosła, stała się wrażliwa na prawa człowieka, na ból zadawany innym, w tym szczególnie na ból i śmierć milionów, całej tragicznej mniejszości żydowskiej, to my, podatni przed wojną na chorobę antysemityzmu a podczas okupacji hitlerowskiej zarażeni wirusem typu *żydostwo to przestępstwo*, urządziliśmy na oczach zarówno ludowej władzy i na oczach kieleckiej kurii diecezjalnej – ku zgorszeniu całej Europy i zdumieniu świata – krwawą łaźnię setkom ocalałym z Zagłady, z obawy przed zwrotem zasiedziało mienia po pomordowanych rodzinach żydowskich! Zawłaszczaliśmy nie tylko pożydowskie mienie, ale także żydowskie cierpienie przedstawiając je jako polskie, wpisując ofiary Holokaustu w ogół strat poniesionych przez społeczeństwo polskie.

Zatem naśmiewanie się z ofiar w ich tragicznej, także przez nas zawinionej sytuacji, to policzek wymierzony pamięci zamordowanych żydowskich rodzin, to oszczerstwo wymierzone w ich godność i w prawo ocalałych członków rodzin żydowskich do szanowania pamięci ich najbliższych. Przerzucanie odpowiedzialności po wojnie na „prowokatorów” za polskie, więc katolickie mordy na uratowanych z Zagłady rodzinach to tylko próba ucieczki

za parawan UB i KGB. Wstyd i hańba na oczach całego powojennego świata, bo do kopania i ograbiania leżącego, do mordów na bezbronnych i najbardziej nieszczęśliwych bo okaleczonych niedobitkach Zagłady nie trzeba było zachęty prowokatorów, wystarczająco mocno gorzał żar rozdmuchanego przez nazizm naszego narodowego i religijnego antysemityzmu oraz żądza gwałtów i rabunku żydowskiego mienia! Klękniemy więc przed Ścianą Płaczu w geście prawdziwie chrześcijańskiej pokory i skruchy i prośmy niedoszłych ofiar Holokaustu o wyznaczenie nam pokuty...

Powracając do Gniewczyny, to należałoby postawić pytanie, czy nasze chrześcijańskie sumienie nie woła o świadectwo prawdy i zadośćuczynienie. Jeszcze nie woła, ale się budzi: oto po dziesiątkach lat, kiedy we wsi umierał tygodniami i miesiącami we własnych odchodach a umrzeć nie mógł, organizator Zagłady domu Trinczerów, Józef L. ten, co najbardziej zhańbił sumienie człowieczeństwa czynami tak strasznymi, że aż trudno w to uwierzyć, to po całej wsi, w każdym domu pełzał, pełen grozy, szeptany lament „...to kara boska za Żydów, za Żydów, za Żydów... to klątwa...”. Jakby dopiero teraz, po dziesiątkach lat zapiekłego milczenia, usłyszano płacz niewinnych, milczącą skargę spod poruszającej się jeszcze warstwy udeptywanej ziemi: „Panie, nie zapomnij krzywdy mojej, i mojej i jeszcze mojej, nas wszystkich a wy, chrześcijanie zróbcie coś dobrego ze swoim życiem, aby nasza żydowska śmierć, śmierć naszych żydowskich dzieci nie była daremna, Adonai, Adonai...”

Ale i tak wszystkiego opowiedzieć nie mogę o tamtym człowieku ze względu na świętą teraz dla mnie pamięć o żydowskich ofiarach z sąsiedztwa, jak i dlatego, że boję się utrwalić w piśmie wspomnienie, które mogłoby mi odebrać zranioną, ale jednak wiarę w zbawczą moc cywilizacji mimo pesymizmu w odniesieniu do natury ludzkiej. Wierzę bowiem w proroczą wizję uwielbianej przeze mnie Poetki:

Wierzę w ducha potęgę i wiedzy zdobycze: / Wierzę w cel życia wzniosły, święty, choć daleki; [...] / Wierzę w dobro, co z czołem białym od promieni / Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni... / [...] / Wierzę w dziedzictwo kary, w pokutę dziejową; / [...] / Wierzę, że wytrwać można mężnie i dostojnie / W największych własnych uczuć i porywów wojnie. / [...] / Wierzę w nieskończoności białe ideały; / Wierzę, że z drobnych iskier, skrzęsanych przez dzieje, / Wielkie, wspólne ognisko ludzkości rozetleje. [...]
Wierzę w parcie konieczne świadome ludzkości, / Do potężnych idei prawa i równości. [...]
Wierzę w orli lot ducha, co nigdy nie stoi.../ I ‘niechaj mi się stanie według wiary mojej’.
 Credo – Maria Konopnicka.

Polska powinna z powodu doświadczeń historycznych, z powodu odpowiedzialności za współudział i zadośćuczynienie, z powodu tragicznego żydowskiego losu uświęconego męczeństwem 6 milionów ofiar, jak nikt, przeciwdziałać głoszeniu poglądów antysemickich. Ratyfikowała w 1977 roku międzynarodowe paktów obywatelskie i polityczne, w tym 21. artykuł („Popieranie w jakikolwiek sposób nienawiści rasowej, stanowiącej podleganie do dyskryminacji, wrogości lub gwałtu, powinno być ustawowo zabronione”) i włączyła je do polskiego kodeksu karnego jako artykuły 256 i 257. Ale nadal antysemici spośród, że parlamentarzystów, objęci dogmatem immunitetu poselskiego i antysemici spośród pasterzy Kościoła objęci dogmatem sacrum, pozostają bezkarni. Czy uprzedzenia rasowe nie są uchycieniem ich godności? Antysemickie uprzedzenia służą jednym i drugim tylko dla doczesnych korzyści, nie dla wiecznego zbawienia. Gdyby naprawdę wierzyli, jak przystało chrześcijanom, w biblijnego Boga Izraela, w ewangelicznego Jezusa i Jego żydowską Rodzicielkę, nie pogardzaliby Żydami i nie prześladowaliby ich, choćby z lęku, jeśli nie z przyzwoitości, przed Sądem Ostatecznym, którego żydowski Skład Sędziowski jest im dobrze znany z lekcji religii...

Nadzieję na odzyskanie przez Kościół wiarygodności w oczach świata przyniósł Sobór Watykański II, który wreszcie orzekł, że „godność wynika z tytułu człowieczeństwa a nie wyznania.” Tym fundamentalnym orzeczeniem Jan XXIII przywrócił Żydom, przynajmniej formalnie, ludzką godność, objął ich przykazaniem miłości bliźniego rozumianym jako braterstwo wszystkich ludzi.

Soborowe zmiany zatwierdził swoim zachowaniem, gestami i nauczaniem JP II pełen szacunku i podziwu dla Żydów, którzy jako pierwsi wnieśli do historii rodzaju ludzkiego wzorzec moralności na tysiąc lat przed naszym, europejskim przebudzeniem i pełen współczucia, że teraz zginęli z naszej ręki, całymi rodzinami nie wiedząc nawet za co umierają. W 1993 roku nawiązał stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Nie wahał się nazwać antysemityzm wstydem i grzechem a Żydów – starszymi braćmi we wierze, co oznaczało, że my chrześcijanie jesteśmy bratobójcami, że dość już demonizowania Żydów, czas na pokutę i zadośćuczynienie! Dlatego jako pierwszy spośród papieży odwiedził Jerozolimę, uklęknął przed Ścianą Płaczu w geście pokory i skruchy i wetknął, 26 marca 2000 roku, w szczelinę jerozolimskiej Ściany Płaczu następującą modlitewną prośbę:

„Boże naszych ojców, Ty wybrałeś Abrahama i jego potomstwo, aby objawić swe imię narodom. Jesteśmy głęboko zasmuceni postępowaniem tych, którzy w ciągu historii spowodowali cierpienie Twoich dzieci. Prosząc Cię o przebaczenie, chcemy zobowiązać się do prawdziwego braterstwa z narodami Przymierza.”

A Muzeum Zagłady w Yad Vashem wycisnęło mu łzy. W modlitwie za naród żydowski napisał: *„Wesprzyj, by spotykał się z szacunkiem i miłością u tych, którzy nie rozumieją jeszcze jego bolesnych doświadczeń, oraz u tych, którzy solidarnie, z poczuciem wzajemnej troski jednych o drugich, współ odczuwają zadane mu rany”*.

W pamięci Izraela i diaspory żydowskiej zasłużył sobie na miano *Sprawiedliwego pośród narodów świata*.

Tymczasem, śmiem wyznać, że ani duchowe dziedzictwo Soboru Watykańskiego II, ani postawa Karola Wojtyły, pełna otwartości, podziwu i miłości wobec Żydów nie zmieniły umysłów ani serc większości ludzi w Polsce. Ten brak ideowej spójności w odniesieniu do żydostwa, niesie uczucie niepewności, że nie jesteśmy w stanie obronić naszego punktu widzenia, naszych dogmatów, niesie rozchwianie i pogmatwanie w nauczaniu religii i zaprzeczanie naszej misji, obniża prestiż katolickiego chrześcijaństwa.

Otwórzmy się – za przykładem JP II – wobec starszych braci we wierze, albo oddajmy im zawłaszczone dziedzictwo, przestańmy w świątyniach i domach celebrować każdego dnia ich Święte Księgi, śpiewać ich Psalmi i odmawiać ich Błogosławieństwa. Tylko wówczas przestaniemy się sami za siebie wstydzić i zasłużymy na szacunek świata. Co do mnie, to irytuje mnie obsesja na tle Żydów, nieżyczliwa zazdrość zrodzona z braku wiary w siebie, niechlubne dziedzictwo narodowe i katolickie, więc przystaję pełen żalu i żaloby przed domem Trinczerów i miejscami, gdzie krew żydowskich dzieci wsiąkła w nasz gniewczyński piasek...

Przywrócenie współczującej pamięci o żydowskich dzieciach, ich matkach i ojcach to obowiązek moralny, część naszej tożsamości. Ujawniając tragedię żydowskich sąsiadów, usiłuję ratować honor gniewczyńskich gimnazjalistów z kompletów tajnego nauczania, których obowiązkiem jest dokumentować współczującą pamięć czasu wojny.

GNIEWCZYNA W CZAS WOJNY

Niechże więc stanie tu obelisk upamiętniający naszych żydowskich sąsiadów, z imionami, nazwiskami oraz datą urodzenia i śmierci, aby było wiadomo, że mordowano tu także dzieci i aby było wiadomo, że był to czas Zagłady – „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” w chrześcijańskiej Europie...

19. PRZEPRASZAM ŻYDÓW ZA NASZ POLSKI ANTYSEMITYZM!

Wszystko to próżność, prócz smutku serc naszych...
(z pieśni ludowej)

Świat, w tym szczególnie moja katolicka Polska, ma kompleks niespełnienia wobec Żydów. Z jednej strony, tej pragmatycznej, obawia się, że cywilizacyjnie nie sprostą Żydom, a z drugiej, zazdrości Żydom. Ten nasz kompleks wobec żydowskości ma trzy wymiary, które się wzajemnie uzupełniają i firmują nawzajem swoje działania: (a) antysemityzm rasowy, (b) polityczny i (c) religijny. Antyżydowskość jest problemem chrześcijaństwa ponieważ wynika z niskich pobudek moralnych.

(a) Antysemityzm rasowy:

Mając świadomość własnej pasywności, obawiamy się żydowskiej konkurencji w nauce, handlu i przemyśle, a z drugiej strony nieświadomie podziwiamy Żydów za

mobilność i dynamiczność charakterów oraz za solidarność. Dręczące nas obawy i zarazem podziw nabawiają nas nieżycziwej zazdrości zakamuflowanej w rzucaniu fałszywych oskarżeń o oszustwa i spiski. Jeśli nie można komuś dorównać, to najlepiej mu przywalić.

(b) Antysemityzm polityczny:

Okresowo może się pojawić antysemityzm polityczny, kiedy państwo w poszukiwaniu kozła ofiarnego za własne niepowodzenia obwinia żydostwo o kryzysy społeczne, a Kościół – o plagi boże.

(c) Antysemityzm religijny/antyjudaizm:

Rzym został zmuszony w IV wieku do zaakceptowania żydowskiej sekty judaizmu, chrześcijaństwa, którego naczelnym przesłaniem było Jezusowe *To przykazanie daję wam, abyście się nawzajem miłowali*. Rzym nie potrafił się jednak wyrzec odwiecznej nienawiści do Żydów na tle rasowym, a nie mogąc się sprzeciwić wprost przesłaniu Jezusa o miłości bliźniego (bo byłoby to zaprzeczeniem swej misji), ukrył nienawiść do Żydów w mrocznym micie o bogobóstwie. Miti ten zajmuje centrum kultu, przed Jezusowym przesłaniem o miłości bliźniego. Polityka przed sacrum?!

Dał nam przykład Wojtyła, że nie należy szukać sensu naszej wiary w opozycji do Żydów, tylko w Jezusowym przykazaniu *abyśmy się nawzajem miłowali*. Wtedy odzyskamy własną godność przed ludźmi i Bogiem!

Dla mnie Żyd brzmi dumnie i tragicznie zarazem, więc marzę, aby do dobrego tonu należało – wśród religijnej elity – dobrze mówić o naszych starszych braciach we wierze. Marzę o Wojtyłowej świątyni pełnej pokory wobec świata i ludzi, świątyni, która zmieni znak konfrontacji z Żydami, w znak otwarcia na współpracę z nimi, znak zbliżenia rąk widoczny na fresku Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej, jako wyraz wdzięczności za to, że zapożyczyliśmy od Żydów wszystko co boskie, święte i błogosławione i jako wyraz zadośćuczynienia za Zagładę...

Pelen podziwu i współczucia dla Żydów, przepraszam ich za nasz polski, narodowy i katolicki, antysemityzm!

tm

sierpień 2009